

Cena 2 zł 90 gr (29.000)

JACEK PIWOWSKI

Sentyment i kontrast

Popiół leniwie kapał z papierosa.
Powiew muzycznej elektroniki
stał się obiektem zainteresowań kota i psa.

Skołatało nasz organizm, wśród mrozów Montany.
Tutejszy kryształ nieskończoności – śnieg.

Dosiadaliśmy radości życia
zbliżając się do New Year
Głos ryby zza-lodu
uzupełnił nam 12 potraw
a Twórca mądrości i magii
obdarzył nas opłatkiem (z Polski).

Światła ambulansów nie rzucały blasków
podczas pierwszego w Nowym Roku Pow-wow.
Mokasyny zatańczyły na mych stopach
– ukazując mi sentyment i kontrast?
Indiański język ukierunkował myślenie.

Słońca płynęły w śnieżnym grzebieniu
dzień za dniem
w oszronionym płaszczu chłodu.
A ciepłe oczy indiańskiej dziewczyny
zauroczyły mojego przyjaciela.

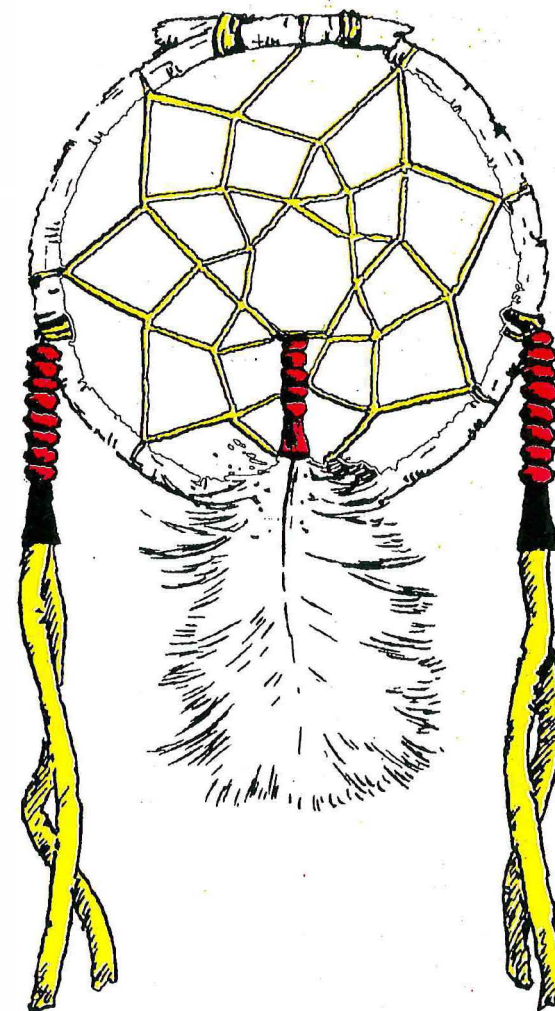
MOKASYN JACK

Trzecia wizyta Źródłka w Montanie
„Kiedy śnieg zjada oczy” – styczeń '94



Nr 4 (32) Zima 1995

ISSN 1232-9207



JAK TO Z NAMI JEST

Jedni przechodzą do historii, biorąc w niej czynny udział; inni – opisując ją. Tak właśnie stanie się z Aleksandrem Sudakiem i jego historycznym dziełem. Może to brzmie trochę nieskromnie, bo autor jest naszym współpracownikiem, ale doprawdy trudno pominąć milczeniem „Leksykon 300 najsłynniejszych Indian”, który dla wszystkich zainteresowanych stał się chyba najlepszym prezentem gwiazdkowym. Niezdecydowanym jeszcze proponujemy fragmenty wstępu oraz kilka sylwetek z tej fantastycznej książki.

Drugim tematem, przewijającym się przez łamy tego numeru, jest 10-lecie „Tawacinu”. Aż trudno uwierzyć, że to już 10 lat minęło od chwili wydania pierwszego numeru. „Tawacin” to także fragment historii polskiego Ruchu Indiańskiego. W tym miejscu trzeba jednak podkreślić, że – wbrew temu, co sądzą wielu ludzi – „Tawacin” nie jest pismem Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian (PSPI). Stowarzyszenie było wydawcą tylko dwóch numerów (16 i 17), choć prawdą jest, że twórcy pisma w większości należeli do PSPI. Z czasem jednak nasze drogi się rozmięły, co nie znaczy, że nie współpracujemy ze sobą. Nie należy jednak utożsamiać redakcji ze Stowarzyszeniem, co ma miejsce w publikowanych w tym numerze listach.

Wchodzimy w kolejny rok działalności. „Tawacin” żyje już własnym rytmem i naszym zadaniem, jako redakcji, jest sprostanie wszystkim wymaganiom, stawianym nam przez Czytelników. Myślimy (po cichu) o zwiększeniu częstotliwości ukazowania się „Tawacinu”, choć chyba nie nastąpi to jeszcze w tym roku. Niemniej jednak zarówno Czytelnikom, jak i sobie samym, szczerze tego życzymy.

Redaktor



Ukazuje się: w marcu, czerwcu, wrześniu, i grudniu **Redaguje zespół:** Wiesław Karnabal (redaktor naczelny), Marek Maciołek i Marek Nowocien **Stale współpracują:** Roman Bala, Marek Cichomski, Mirosław Dunin-Sułgostowski, Maciej Lewandowski, i Aleksander Sudak **Adres redakcji:** Dąbrowa, ul. Szkolna 9, 62-069 Pałędzie **Wydawca:** TIPI ul. Łąkowa 3, 64-050 Wielichowo **Druk:** Usługi Poligraficzne „WI-MARK” ul. Czereśniowa 10, 62-800 Kalisz

W tym numerze:

Głos Indian w Polsce, czyli nasze pierwsze 10 lat – wydawca „Tawacinu” o bilansie dotychczasowych wydań i „linii programowej” pisma

W obronie tożsamości narodowej – fragmenty wstępu do „Leksykonu 300 najsłynniejszych Indian” Aleksandra Sudaka oraz kilka biografii z tej niesamowitej książki

Najazdy Szoszonów i Bannoków na Oregonskim Szlaku 1859–1863 – pierwsza część eseju profesora historii Uniwersytetu Utah, Brigham D. Madsena o mało znanych epizodach na szlaku kolonistów do Oregonu

HAKO – Pauniska ceremonia umacniania więzi życia – etnograficzny zapis przebiegu obrzędu Paunisów wraz z tekstami pieśni i ich interpretacją

Czy Peltier jest mordercą? – polemiczna odpowiedź Marka Nowocienia na komentarz z poprzedniego numeru

Polskie opisanie świata. Pierwsze wieści, pierwsi Polacy w Nowym Świecie (XVI–XVIII w.) – pierwsza z trzech części eseju Janusza Jaskulskiego o polskich odkrywcach Ameryki, przygotowanego specjalnie na wystawę w Muzeum Etnograficznym we Wrocławiu z okazji 100-lecia Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego

15 lat działalności „Stowarzyszenia Żółwi” ze Sztumu omawia jego założyciel i kierownik – Leszek Michalik

Łapacz snów – w kąciku „zrób to sam” Niedźwiadek przedstawia legendę, znaczenie i sposób wykonania popularnego rekwizytu indiańskiego świata

Bieg Wolności’96 – informacja wstępna

Ponadto: **serwis informacyjny, listy z ankieta na 10-lecie „Tawacinu”, książki i zwielenia Cienia**

Na okładce: Łapacz snów. Rys. Niedźwiędz

Podziękowania: Maria Giżycka, Stanisław Mozoła, Jan Szturc, Bogdan „Viktorio” Zdaniwicz, Zdzisław Ziniczuk i „Swojskie Klimaty”

Marek Maciołek

GŁOS INDIAN W POLSCE czyli nasze pierwsze 10 lat

„Indianie” zawsze wzbudzali ciekawość Polaków. Świadczą o tym relacje z podróży naszych wędrowców, literatów i reporterów. Mamy wspomnienia Juliana Ursyna Niemcewicza, którzy przebywał w Stanach Zjednoczonych na przełomie XVIII i XIX wieku i spotkał się m.in. z wodzem Majamów – Małym Żółwiem. Mamy reportaże Sygurma Wiśniewieckiego, który w 1874 roku wyruszył z Custerem w Góry Czarne (Black Hills) szukać złota. Mamy wspomnienia Bolesława Horodyńskiego, który przez 16 lat żył wśród Indian Omaha. Znał ich wreszcie „Listy” Henryka Sienkiewicza, a także szereg innych relacji naszych podróżników.

Co ciekawe, nigdy nie spotkałem zdecydowanie negatywnych relacji o Indianach. Polacy jakby zawsze darzyli tych ludzi szacunkiem i zrozumieniem, albo tylko współczuciem. Być może zaważyły tu nasze losy narodowe przez ostatnie dwadzieścia lat? Czas zaborów i niewoli. Być może to jakaś wspólnota dziejów, jakaś niefrasobliwość, nazywana różnie, „Indian time” albo „słę zrobił”. Może to ułaskawiona fantazja w boju, odwaga gdy idzie o śmierć, nieustępliwość w sprawach honoru, a jednocześnie wielki brak realizmu, gdy przyjdzie pokój.

Wystarczy tych porównań, mających pomóc odpowiedzieć na tradycyjne pytanie „dlaczego interesuję się Indianami?” Na to każdy musi znaleźć swoją własną odpowiedź. I niech tak będzie.

Przy całej sympatii do Indian, Polacy wiedzą o nich bardzo mało. Przeważnie są to stereotypy kształtowane przez popular-

ne książki i kino. Każdy naród ocenia swych sąsiadów (tych bliskich i tych dalszych) za pomocą stereotypów, tego uniknąć się nie da. Niemniej jednak warto dowiedzieć się możliwie najwięcej o tych, którzy nas fascynują.

Niestety, zdecydowana większość publikacji o Indianach kreuje właśnie taki uproszczony wizerunek. Autorom książek i artykułów prasowych jakby brak solidnej wiedzy, gruntownych badań nad tematem i rzetelnego opracowania materiału. Stąd ucieczki w schematy, stąd liczne błędy powtarzane z książki na książkę. Zatem już najwyższa pora na wydawanie wartościowych prac o Indianach, na pogłębianie swej wiedzy zawartej nie w ogólnikach, ale w szczegółach, bo za każdym przecieł wydarzeniem, za każdą datą stoją konkretni ludzie, uwikłani w wyzwania swoich czasów, przeżywający – jak my dzisiaj – swe wzloty i upadki.

Mamy w „Tawacinie” ten wielki przywilej, że możemy drukować fragmenty książek i eseje czołowych historyków amerykańskich zajmujących się tematem indiańskim, z których wymienić chcę Colina G. Callowaya, Jamesa A. Cliftona, Roberta M. Utleya i niezłającego już Dana L. Trappa. Prace tych naukowców i pasjonatów wypełniają lukę w odkrywaniu nieznanych zupełnie w Polsce kart historii amerykańskiego Pogranicza. Wierzę, że po esejach przyjdzie kolej na publikację ich wielkich dzieł i słynnych książek. Wiele zawdzięczamy naszemu największemu w Polsce znawcy historii Indian, Aleksandrowi Suda-

kowi, którego nieustrudzone wysiłki owocują obecnie w postaci doskonałych przekładów i komentarzy historycznych, ukazujących się na naszych łamach.

Nie ukrywam, że jedną z inspiracji do tworzenia formuły „Tawacinu” było największe swego czasu czasopismo indiańskie „Akwasasne Notes”, wydawane przez Mohawków i opowiadające się po stronie indiańskiego tradycjonalizmu. Tradycjonalizm jest określoną wartością dla współczesnych tubylczych Amerykanów, którzy w nim upatrują siłę przetrwania i rozwoju swej kultury. Wiele w tej dziedzinie zaniedbano. Tradycyjne wartości wspólnoty i rodziny zostały mocno nadszarpnięte w zderzeniu z kulturą konsumpcjonizmu białych Amerykanów. Przed tubylczymi społecznościami stoi więc wielkie zadanie odbudowy wspólnot i życia rodzinnego w oparciu o tradycję. Dlatego w „Tawacinie” nie propagujemy *New Age* i białego szamanstwa, coraz bardziej modnego, także w Polsce. Dla chcących poznać prawdziwą indiańską duchowość jest to bezwartościowe. Opowiadamy się więc za drogą pokoju Hopiów, za siódmym pokoleniem Irokezów, za pokrewieństwem Siuksów – *Mitakuye Oyasin*. Nie chodzi nam jednak o kopiowa-

nie czy tworzenie jakichkolwiek form kultu, ale o świadomość szacunku wobec życia, związku człowieka z całym światem, odpowiedzialności za los naszych dzieci i wnuków, które dopiero czekają na włączenie się do Kręgu Życia.

Z tradycjonalizmem wiąże się też współczesna literatura indiańska, która w dużej mierze pełni rolę dydaktyczną, niosąc posłanie o przetrwaniu tubylczych kultur. Publikowane na naszych łamach poezje i opowiadania pokazują ogromną różnorodność kultur, wizji i doświadczeń tubylczych pisarzy.

Stosunkowo najlepiej znaną dziedzina „indianistyki” w Polsce jest kultura materialna, głównie ze względu na swą atrakcyjność dla oka. Sporo osiągnięć ma nasz naczelny, Wiesław Karnabał, którego cykl „Zrób to sam” cieszy się olbrzymią popularnością. Niedźwiadek skutecznie też wprowadza tematykę etnograficzną, wykazując głębię indiańskiej obrzędowości i jej wpływ na harmonię całego człowieka. W naszej nowoczesnej kulturze brak już pewnych obrzędów, które niegdyś chroniły człowieka przed duchowym rozdarciem. Matura, czyli egzamin dojrzałości ma w gruncie rzeczy niewiele wspólnego z kształtowa-

nem osobowości i wkraczaniem w kolejny etap życia. Warto więc poznawać indiańskie obrzędy, aby czasami ...dowiedzieć się czegoś o sobie.

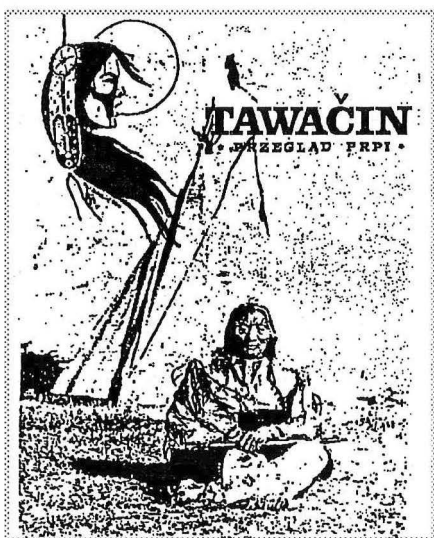
Polski Ruch Przyjaciół Indian, który powstał na początku lat siedemdziesiątych, był świadkiem przeobrażeń w indiańskiej Ameryce. Można powiedzieć, że rozwijał się i zmieniał wraz ze społecznościami tubylczymi. Sprawy współczesne, choć trudniejsze do opisanie i obiektywnego przedstawienia, także zajmują sporo miejsca w „Tawacinie”. Indiańskie wojny jeszcze się nie skończyły. Nasz główny specjalista, Marek Nowocień, systematycznie omawia znaczące wydarzenia, takie jak powstanie ruchu Red Power, Szlak Złamanych Traktatów, Wounded Knee 1973, Leonard Peltier czy obecne przebudzenie tubylczej Kanady (to właśnie głosy Indian zaważyły o pozostaniu prowincji Quebec w Kanadzie). Nie mogę nie wspomnieć tutaj o wielkiej sympatii do Polskiego Ruchu Indiańskiego i „Tawacinu” Mike’a Benwella, Mohawka z Kahnawake, który regularnie zaopatruje Marka Cichomskiego w wycinki prasowe, składające się na nasz serwis informacyjny.

Zdaję sobie sprawę, że największe dziś problemy mają Indianie Ameryki Południo-

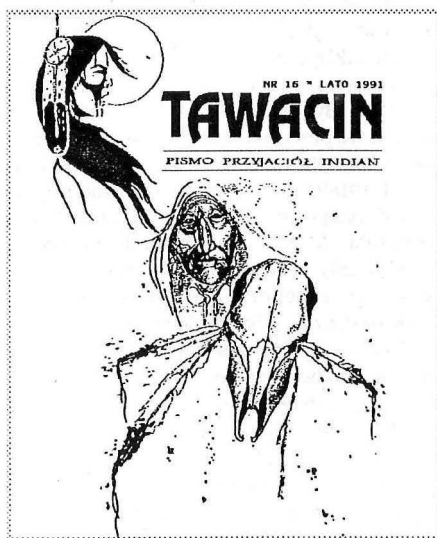
wej, którzy ciągle są okradani z ziemi, wyzyskiwani i nierzadko mordowani z zimną krwią. Jeżeli chcemy naprawdę coś zrobić dla Indian – skupmy się na Ameryce Południowej. Chyba tylko presja międzynarodowej opinii społecznej może dopomóc w rozwiązaniu skomplikowanych problemów tych tubylców. Artykuły Romana Bali i wcześniej Wiesława Kołeczka ewidentnie pokazują, że tubylcy latynoscy to nie tylko zespoły muzyczne, pojawiające się na ulicach polskich miast, a przede wszystkim – to chłopcy w Boliwii i Hondurasie, to robotnicy rolni wyzyskiwani przez wielkich obszarników, to ubodzy górale w peruwiańskich Andach, to wreszcie przepędzani mieszkańcy amazońskiej puszczy.

Kiedy dziesięć lat temu, na IX Zlocie Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian nad Jeziorem Szelment koło Suwałk zaświtała nam (Wiesławowi Karnabalowi, Markowi Nowocieniowi i mnie) myśl o stworzeniu czasopisma, nie wiedzieliśmy jeszcze, jaki kształt ono przybierze. Z satysfakcją mogę powiedzieć, że tylko dzięki uporowi, wytrwałości i ogromnej pracy moich kolegów (Wymienić muszę jeszcze Mirosława Dunin-Sułgostowskiego – którego rysunki rozśmieszają Czytelników na przedostatniej stronie każdego numeru – i Macieja Lewandowskiego, który służy nam wszelaką pomocą komputerową i techniczną, a także tych wszystkich, którzy w różny sposób współpracują z nami, przesyłając tłumaczenia, artykuły własne, grafiki, pomysły i opinie.) „Tawacin” zajmuje obecnie pierwsze miejsce wśród indianistycznej prasy w Polsce. Reprodukowane na tych stronach okładki kilku wcześniejszych numerów ilustrują naszą ewolucję i choć nie jesteśmy jeszcze w pełni zadowoleni z naszego Pisma Przyjaciół Indian, to obchodzimy swe pierwsze dziesięciolecie istnienia w optymistycznym nastroju i ufnie spoglądamy w przyszłość. Tego samego życzymy naszym Czytelnikom, dla których warto było stworzyć ten „Tawacin”, czyli Głos Indian w Polsce. □

Marek Maciołek



TAWACIN nr 1, Jesień-Zima 1985



TAWACIN nr 16, Lato 1991



TAWACIN nr 2(22), Lato 1993

W obronie tożsamości kulturowej

Ze wstępu
do „Leksykonu 300 najsłynniejszych Indian”

„Kto z nas ich nie pamięta? Kto nie był pod urokiem opowieści o Indianach? Świat Indian to świat naszych dziecięcych marzeń: o milczących wodzach, dumnych wojownikach, Wielkich Wężach, Czerwonych Orlach, Kamiennych Sercach. Ktokolwiek zaczytywał się w indiańskich dziejach, będzie na zawsze po stronie Indian”.

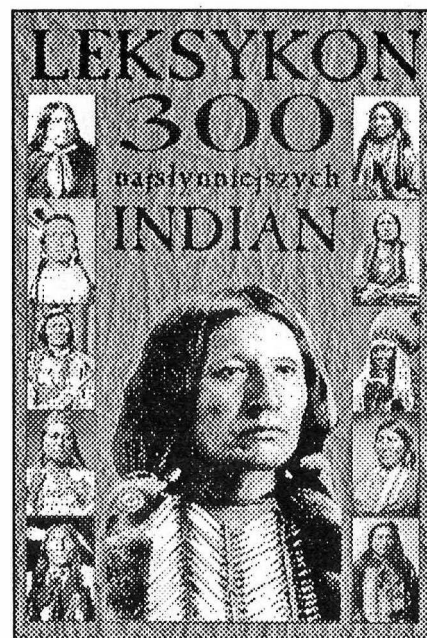
Te piękne słowa o bohaterach tego „Leksykonu” — Indianach Ameryki Północnej, bohaterach swoich, moich i milionów ludzi na całym świecie, wypowiedział austriacki arystokrata, Fredrich von Gager.

Wbrew powszechnemu mniemaniu nigdy nie byli bezwolnymi pionkami w grze między białymi mocarstwami, prowadząc własną, bardziej lub mniej dalekowzroczną, politykę. Wręcz przeciwnie, to rządy państw kolonialnych, a potem Stany Zjednoczone w swych sporach z Wielką Brytanią i Hiszpanią, zabiegały o ich poparcie, gdyż w pewnych okolicznościach byli wręcz niezbędni i mogli przeważać szalę zwycięstwa na jedną ze stron. Irokezi, Algonkinowie, Krikowie umiejętnie potrafili wykorzystać tę sytuację i podsycać panujące między białymi antagonyzmy. W obliczu zdecydowanej przewagi białych potrafili się zdobyć na daleko idący kompromis, ustępując ze swych ziem, jak Pięć Cywilizowanych Plemion, czy rezygnując z dalszej walki bądź jej w ogóle nie podejmując, jak Pstry Ogon Siuksów, Ouray Ute lub Washakie Szoszonów. To, że obronili swą

tożsamość kulturową i nie ulegli wynarodowieniu, stanowi ich wielkie zwycięstwo. Odnieśli je dzięki zrodzonym wśród nich wojownikom, politykom, mężom stanu, mówcom, prawodawcom, prorokom, intelektualistom i pisarzom. Byli nimi zarówno mężczyźni jak i kobiety, których pozycja wśród Indian Ameryki Północnej była bardzo wysoka, o czym również nie wszyscy wiedzą.

Znajdują się oni wśród ponadtrzystu przedstawionych w tej pracy wybitnych Indian. Są tu też postaci mniej świetlane, jak Avote, złoczyńca z plemienia Paiute, którego wybrałem ze względu na legendę, jaka otoczyła jego imię. Pozwoliłem sobie postawić obok nich również kilku białych i Murzynów, co nie powinno nikogo dziwić, gdyż poświęcili oni życie plemionom, w których z różnych powodów się znaleźli i oddali im usługi nie mniejsze niż ich przybrani bracia.

Indianie północnoamerykańscy, choć nieźmiernie popularni w naszym kraju są jednocześnie prawie nieznanymi. Mało wiemy o ich kulturze i historii. Obraz Indianina — dumnego, związanego z naturą, nade wszystko kochającego wolność, uganiającego się po preriach za bizonem, okrutnego i wspaniałomyślnego wojownika — wciąż pokutuje w naszej wyobraźni. Nadal kształtuje go literatura biorąca swe początki od powieści Jamesa F. Coopera i Karola Maya. Podobnie Indianin odbierany jest w zdecydowanej większości filmów, jakie ukazywały się na naszych ekranach. Sytua-



cji tej nie ratują dwie cenne prace profesora Jana Szczepańskiego: o powstaniu Pontia (pisana zresztą bez uwzględnienia wyników ostatnich badań historycznych) i o wojnach Czejenów. Podobnie przedstawia się sprawa z wieloma innymi książkami przetłumaczonymi na język polski. Mamy tu do czynienia bądź z pracami typu „Prawdziwe życie Skórzanej Północy. Historia Pogranicza w latach 1607 — 1813” wspomnianego Friedricha von Gagera, którą darzę wiecznym sentymentem, lecz do której historyk powinien podchodzić z dużą ostrożnością, bądź „Pochowaj me serce w Wounded Knee. Indiańska historia amerykańskiego Zachodu” Dee Browna. Napisała z ciężkiego poczucia winy — jak złośliwie, choć słusznie wyraził się profesor James A. Clifton — może imponować jedynie mnogością przedstawionych faktów, gdyż jednostronnie fałszywie kreśli obraz stosunków między białymi a Indianami. Czytelnik odnosi wrażenie, że nie działo się tam nic więcej poza bezlitosną eksterminacją tubylczych Amerykanów. Gdyby tak było, to po ziemi amery-

kańskiej nie stapałby dziś żaden Indianin. Na stosunki między obydwojema nacjami rzutowały takie czynniki, jak ambicje ludzkie, obawy, chciwość, głód ziemi, uprzedzenia, religia, tradycja, żądza zemsty. Rzadko kiedy daną sytuację można odmalować tylko w białym i czarnym kolorze, o czym zapominają i Dee Brown, i inni pseudoznawcy tematu. Zadaniem tej książki jest przeciwstawienie się panującym w polskojęzycznej literaturze stereotypom, takim jak choćby wódz Józef — „indiański Napoleon”, geniusz wojskowy i pogromca armii amerykańskiej, Siedzący Byk — dwuznaczna postać kreowana dzięki zasługom innych na pogromcę pułkownika (nie generała) George’a A. Custer’a. Tenskwatawa, brat-bliźniak wielkiego Tecumseha niszczący dla własnych ambicji dzieło, któremu obaj poświęcili życie, czyli konfederację plemion indiańskich od Florydy po prerię nad rzeką Saskatchewan, czy Pontiac — twórca i naczelny wódz plemion sprysiężonych przeciwko Anglikom w latach 1763-64. Dobrze byłoby też zapoznać Czytelnika z takimi na pozór sprzecznymi ze sobą zjawiskami, jak to, że Indianie tak przywiązani do wolności posiadali licznych murzyńskich niewolników i w amerykańskiej wojnie domowej między Północą i Południem wielu z nich walczyło po stronie Południa.

Książka ta powstała w oparciu o wyselekcjonowaną w każdym hasle literaturę oraz — a może przede wszystkim — dzięki długoletniej korespondencji z wieloma wybitnymi historykami i antropologami ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, ich życzliwej zachęcie i nadsyłanym materiałem. Wszystkim im należą się gorące podziękowania, ale szczególną wdzięczność jestem winien Jamesowi A. Cliftonowi, Douglasowi E. Leachowi, Nancy O. Lurie, Corneliusowi C. Smithowi, nieodżałowanemu Danowi L. Thrappowi, Robertowi M. Utleyowi i Clintonowi A. Wesslerowi. Za wszelkie ewentualne błędy i niedopatrzenia w tej pracy ponoszę, oczywiście, pełną odpowiedzialność.

Aleksander W. Sudak

Kościerzyna, październik 1995 r.

Avote (? — 1897)

Złoczyńca z plemienia Południowych Paiutów. Wraz z grupą współplemieńców żył z dnia na dzień, włócząc się po górniczych obozach w południowej Nevadzie. Na złą drogę zszedł najpewniej po tym, jak górnik Lars Frandsen uwiódł mu żonę. 12 maja 1897 roku o milę poniżej miasta El Dorado, w kanionie o tej samej nazwie, przy źródle Huess wciągnął w zasadzkę Larse-na i jego pomocnika, zabijając pierwszego i ciężko raniąc drugiego. Później zabił przypadkowo napotkanego Charlie Nelsona, którego imię nosi obecnie miasteczko u wylotu kanionu El Dorado. Następnie ukrył się w chacie Charlie Monohana, swego współnika w wydobywaniu kruszców i również go zastrzelił. Nazajutrz po tym morderstwie zaskoczył przyrządzającego śniadanie niejakiego Mortona, zwanego „Sędzią”. Mając nadzieję ocalić życie, Morton poczęstował Paiuta talerzem bobu, ten przyjął poczęstunek, a potem zastrzelił gospodarza. Wyprowadzeni z równowagi tymi zabójstwami Paiutowie, bojąc się, że odpokutują za nie wszyscy, postanowili się pozbyć Avote. Zagnali go na Wyspę Topolową, leżącą 25 mil w dół rzeki od El Dorado, zabili i wrócili z jego głową na znak, że wypełnili misję.

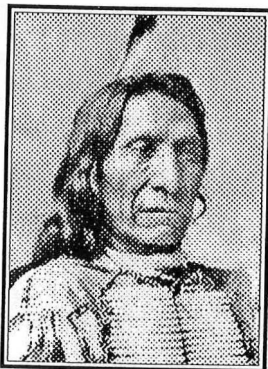
Dan L. Thrapp, *Encyclopedia of Frontier Biography*, Lincoln, University of Nebraska Press, 1991—1994.

Czerwona Chmura czyli Makhiya-luta (1822 — 10 grudnia 1909)

Wódz Siuksów Oglala. Urodził się w widłach rzeki Platte w Nebrasce jako członek najpotężniejszej w plemieniu rodziny Węza, choć wybił się jedynie dzięki własnym zdolnościom, gdyż nie pochodził z rodu dziedzicznych wodzów. Imię swe zyskał, zdaje się, kiedy był już sławny. Po raz pierwszy zdobył skalp w wieku szesnastu lat podczas wyprawy na Paunisów. Kiedyś, gdy wyruszył przeciwko Wronom, zabił chłopca pilnującego stada koni, zagarnął je i następnego dnia zastrzelił wodza ścigających go wrogów. W in-

nym wypadzie na Paunisów zabił czterech przeciwników. Kiedy pewien Ute topił się w rzece, Czerwona Chmura wyciągnął go za włosy na brzeg i z zimną krwią oskalpował. Zasłynął z wyjątkowego okrucieństwa i stał

się postrachem sąsiednich plemion. Jego matką była siostra słynnego wodza, Dymu, naczelnika klanu Złych Twarzy. Kiedy doszło do waśni między nim a zwolennikami, równie wpływowego, wodza Niedźwiedzia, Czerwona Chmura uśmiercił rywala. Na dziesiątki lat poróżniło to Złe Twarze Dymu i Kiyuksa czyli Podzielonych Niedźwiedzia. Ci pierwsi związali się z Północnymi, zaś drudzy z Południowymi Czejenami, zachowując oczywiście własną tożsamość. Niedługo po tym wydarzeniu, Czerwona Chmura odniósł ciężką ranę odstrzały Paunisa, na którą narzekał do końca życia. W 1854 roku wraz ze swymi Oglalami wziął udział w bitwie z Grattanem na wschód od fortu Laramie, będąc w owym czasie uznanym przywódcą Złych Twarzy. Zasłynęli oni w wojnach lat sześćdziesiątych na Równinach. Zwycięstwa odniesione, między innymi, w bitwie o most na Platte w lipcu 1865 roku czy nad ekspedycją generała Connora w miesiąc później nad Rzeką Prochową, utwierdziły Indian w oporze. 13 czerwca 1866 roku Czerwona Chmura zerwał układy prowadzone w forcie Laramie, kiedy zaproponowano mu otwarcie rozległych łowisk Siuksów dla białego osadnictwa. Wódz skoncentrował swe ataki na szlaku, wytyczonym niegdyś przez traperę Johna Bozemana, wiodącym po wschodniej stronie Gór Wielkorożca (Bighorn Mountains) ku złotodajnym polom Montany. Wojownicy nekali białych przy każdej okazji, trzymając w oblężeniu pobudowane tu forty: Reno, Phil Kearny i C. F. Smith. Szczyt walk nastąpił w dniu 21 grudnia 1866 roku, kiedy do ostatniego żołnierza wyginął osiemdziesięcioosobowy oddział kapitana Williama Fettermana. Była to najcięższa klęska, jaką dotąd poniosło wojsko w wal-



kach z Indianami za Missisipi, a autorstwo jej przypisuje się głównie Czerwonej Chmurze. Wojna toczyła się nadal, obfitując w takie wydarzenia, jak bitwa na Skoszzonej Łące 1 sierpnia i bitwa o wozy 2 sierpnia 1867 roku, przez obydwie strony uznane za własne zwycięstwa. Bitwa o wozy była ostatnim słynnym wystąpieniem zbrojnym, w jakim wziął udział Czerwona Chmura. 4 listopada, na wieść, że wojsko opuściło placówki przy szlaku Bozemana, przybył na czele 125 wodzów i wybitniejszych wojowników do fortu Laramie, aby podpisać dwa dni później pokój, który wielu Indian z północnych plemion zawarło już w maju. Odtąd Czerwona Chmura porzucił wojenną ścieżkę, stając się rzecznikiem pokoju i dyplomatą. Nie przyprowadził jednak od razu swych ludzi, lecz odczekał całą zimę i dopiero 22 marca 1869 roku zjawił się w Laramie, żądając żywności dla ponad tysiąca osób. Kiedy ją otrzymał, wyruszył na letnie łowy w dolinę Rzeki Wiatru (Wind River) i ponownie pojawił się w marcu 1870 roku wymienić upolowaną zdobycz na potrzebne mu towary. W tym czasie przestał zabiegać o przyznanie sobie rezerwatu w Dakocie, zaś w końcu maja wyruszył z dwudziestoma współplemieńcami w swą pierwszą podróż do Waszyngtonu. Tutaj spotkał, rywalizującego z nim o wpływy wśród Siuksów → Pstrego Ogonaz z plemienia Brule, cieszącego się sławą wodza „ugodowych”, podczas gdy on był przywódcą „nieprzejednanych”. Rozmowy z przedstawicielami rządu nie przyniosły żadnych rezultatów, gdyż Amerykanie nie mieli mu do zaoferowania nic innego, jak nie chciany przez niego rezerwat nad Missouri. Po zwiedzeniu Nowego Jorku, gdzie spotkał się z królewskim wręcz przyjęciem, powrócił do fortu Laramie. Jakiś czas przebywał w tutejszej agencji, a potem wraz ze swymi ludźmi wędrował po innych placówkach, aż osiadł na stałe w Pine Ridge w Południowej Dakocie. Nie wziął udziału w wojnie lat 1876-77, a mimo to Czwarty Pułk Kawalerii pod dowództwem Ranalda S. Mackenzie otoczył jego agencję, mieszczącą się wtedy koło obozu Robinson w Nebrasce, rozbroił wojowników i zagarnął ponad dwa tysiące koni. Wtedy to, w październiku 1876 roku, generał Crook pozbawił go godności wodza plemienia, mianując w jego miejsce Pstrego Ogonia. Kiedy jednak pomógł sprowadzić do rezerwatu → Szalonego Konia, objął znów przywództwo Oglalów, z którego zrezygnował na rzecz swego syna, Jac-

ka, 4 lipca 1903 roku. W oczach białych uchodził za męża stanu Siuksów, cieszącego się posłuchem współplemieńców, podczas gdy zawsze istniała opozycja Indian wobec jego polityki, jak również wobec jego osoby. Jej powodem były zarówno zmiany poglądów Czerwonej Chmury wobec takich zagadnień, jak uprawa ziemi czy edukacja, których szerzeniu początkowo się sprzeciwiał, jak i niechęć, którą darzyli go tacy przywódcy jak → Amerykański Koni czy → Młody, Którego Koni Boją Się Wrogowie. Jako nominalny katolik został pochowany według obrządku tego wyznania. Pozostawił pięciorodzieci, wśród nich wspomnianego Jacka (ok. 1858 — 1918), który — choć był równie wybitnym wojownikiem — nigdy nie dorównał ojcu sławą i znaczeniem.

James C. Olson, *Red Cloud and the Sioux Problem*, Lincoln, University of Nebraska Press, 1965; Robert M. Utley, *Frontier Regulars The United States Army and the Indian, 1866 — 1891*, Lincoln, University of Nebraska Press, 1984.

Riddle Tobey czyli Kuitchkana (1850 — 18 lutego 1920)

Tłumaczka z plemienia Modoków. Córka wojownika imieniem Secot i bliska krewna → Kapitana Jacka. Zasłynęła podczas wojny Modoków lat 1872-73 w północno-wschodniej Kalifornii. Urodziła się nad Rzeką Ogniwa (Link



River) w Oregonie i w wieku dwunastu lat poślubiła trzydziestoletniego Kentukańczyka, Franka Riddle'a mieszkającego kilka mil na wschód od Yreki w północnej Kalifornii. Ich związek mający być przelotną miłością, jakich wiele zdarzało się na pograniczu, okazał się trwałym głębokim uczuciem, które przetrwało do końca ży-

cia Riddle'a. Kiedy wybuchła wojna między Modokami i białymi, mieszkali i łowili zwierzęta futerkowe nad Zagubioną Rzeką (Lost River), w południowym Oregonie. Później Riddle'owie zamieszkali w rezerwacie Klamasów ze → Starym Schonchinem, głównym wodzem plemienia, który pozostał na uboczu wydarzeń. Zachowali dobre stosunki z wrogami. Tobey z polecenia władz wojskowych, często z narażeniem życia, udawała się na rozmowy do ich warowni, będąc nie tylko tłumaczką. Orientowała się doskonale w nastrojach współplemieńców i знаła wszystkich ich przywódców, toteż była nieocenionym doradcą białych oficerów. Krytyczna chwila nadeszła w kwietniu 1873 roku, kiedy Modokowie przezwyciężyli opór Kapitana Jacka i postanowili zamordować generała Canby, pastora Thomasa, agenta Meachama i innych białych parlamentarzystów. Tobey dowiedziała się o tym, będąc we wrogim obozie i natychmiast ostrzegła białych, prosząc, aby nie zdradzili się z tym, od kogo wiedzą o planowanym zamachu. Jednakże Thomas, człowiek ograniczony i próżny, od razu powiedział wysłannikowi Modoków, że wiadomość pochodzi od Tobey. Jack wezwał ją wówczas do swej warowni, dokąd pojechała natychmiast, mimo gwałtownych protestów Canby'ego, męża i wszystkich obecnych. Tutaj otwarcie przyznała, że doniosła o planowanej zasadzce, ale nie wyda przyjaciela, który jej o tym powiedział. Pragnie końca tej bezsensownej wojny oraz przywrócenia pokoju. Mogłaby zginąć, lecz Kapitan Jack i kilku innych wojowników, ujęci jej odwagą, odprowadzili ją bezpiecznie do obozu białych. Niestety, ani Canby, ani Thomas nie wierzyli, że Modokowie zechcą wykonać swój zamiar i następnego dnia udali się na spotkanie. Generał Canby i pastor padli pod kulami. Agent Meachama ocalała Tobey, osłaniana przez → Luptukuelatko. Kapitan Jack wyznał Tobey, że zabijając Canby'ego wydał na siebie wyrok śmierci, lecz nie mógł postąpić inaczej. Tobey wyleczyła później ciężko rannego Meachama i wysłała go do żony mieszkającej w Salem, w Oregonie. Podczas sądu wojennego, który skazał Kapitana Jacka i trzech jego towarzyszy na śmierć, Riddle'owie pełnili obowiązki tłumaczy. Pozostałych Modoków zesłano do rezerwatu w Oklahomie. Kiedy Meacham wyzdrowiał, wyruszył w podróż po miastach Wschodu z szeregiem wykładów o Modo-

kach i ich wojnie. Zabrał wówczas ze sobą Tobey i jej męża. Nazwana przez niego „Wine-mą”, imieniem niemającym chyba żadnego znaczenia, stanowiła atrakcję jego podróży. Pułkownik James B. Fry mówił, że „cechowały ją nieprzeciętna inteligencja i uroda. Z całych sił kochała swego białego męża i będąc Indianką z krwi i kości, nie знаła innego prawa niż jego życzenie i wola... Ciesząc się zaufaniem białych... była w zadziwiającym stopniu lubiana i ceniona przez Modoków”. Na starość osiadła w Yainax, w oregońskim rezerwacie Klamasów, otoczona wnukami i prawnukami. Tam też zmarła. Staraniem senatora George'a Hearsta, przez ostatnie trzydzieści lat życia pobierała miesięczną pensję w wysokości 25 dolarów, za usługi oddane podczas wojny Modoków.

Keith A. Murray, *The Modocs and Their War*, Norman, University of Oklahoma Press, 1959; Dan L. Thrapp, *Encyclopedia of Frontier Biography*, Lincoln, University of Nebraska Press, 1991—1994.

Rzymski Nos czyli Woquini (1830 — 17 września 1868)

Wojownik Czejenów. Należał do stowarzyszenia wojennego Południowych Czejenów zwanego Himoiyoqui czyli Krzywa Lanca. Znany był też jako Sautie, co znaczy Nietoperz, zasłynął jako największy w swoim czasie wojownik plemienia. W czasie wielkich wojen lat sześćdziesiątych znany był wszystkim Indianom z Równin i biali sądzili, że dowodził we wszystkich bitwach z udziałem Czejenów, choć w rzeczywistości znajdował się nierzadko wiele mil od miejsca wydarzenia. Amerykanie uważali go za wodza i odpowiednio traktowali, mimo że



on nigdy tego nie wymagał. Do bitwy zakładał zawsze swój słynny pióropusz, sporządzony dla niego w 1860 roku przez → Białego Byka. Będąc małym chłopcem, Rzymski Nos pościł na wyspie pewnego jeziora w Montanie, gdzie przyśnił mu się wąż z rogami na głowie. Dlatego pióropusz miał róg nad czołem, zaś jego ogon z orlich piór ciągnął się do ziemi. Wykonany był z materiału nie pochodzącego od białych, bez użycia ich nici czy metalu. Aby zachować magiczną moc pióropusza, nie wolno mu było dotknąć jedzenia metalowymi sztućcami ani gotować w takich naczyniach. Rzymski Nos pozostawał z białymi w miarę dobrych stosunkach, aż do czasu masakry nad Piaszczystym Potokiem (Sand Creek), odkąd stał się ich nieubłagany wrogiem. Wziął udział w bitwie o most na rzece Platte w lipcu 1865 roku. Na początku września walczył nad Rzeką Języka (Tongue River) przeciwko oddziałom pułkowników Cole'a i Walkera, stanowiących część wojsk skierowanych nad Rzekę Prochową (Powder River) przeciwko Siuksom i Czejenom. Wiosną 1866 roku przeprowadził szereg najazdów nad Platte, których ofiarą padło kilka karawan pionierów. W sierpniu, podczas narady w forcie Harker w Kansas, ostro zaprotestował przeciwko wytyczeniu linii Union Pacific, której pociągi wypłacały bizony. Podczas jej budowy atakowała stacje i robotników układających tory. Kiedy generał Winfield S. Hancock zwołał w kwietniu 1867 roku naradę z Czejenami i ich sprzymierzeńcami, zapytał, dlaczego nie ma Rzymskiego Nosa oraz „innych wodzów”. Rzymskiego Nosa nie było, gdyż nie będąc wodzem, nie mógł brać udziału w naradach, ale Hancock tego nie rozumiał. Na jego natrączywe żądanie wojownik pojawił się na spotkaniu z oficerami 14 kwietnia. Będący na miejscu → George Bent mówił, że chciał wówczas zabić generała i inni Czejenowie z trudem odwieśli go od tego zamiaru. Od tej pory większość czasu spędzał wśród czejeńskich Żołnierzy Psów, stowarzyszenia, do którego nie należał, ale którego wojownicze nastawienie podzielał. Nie zamierzał wziąć udziału w bitwie o wyspę Beechera we wrześniu 1868 roku, gdyż kilka dni wcześniej, podczas uczt w obozie Siuksów, zjadł chleb pieczony na żelaznej patelni, co oznaczało, że zginie w pierwszej walce. Nie wziął udziału w pierwszym zamowanym ataku na pięćdziesięciu traperów pul-

kownika George'a Forsytha, lecz nakłoniony do poprowadzenia następnej szarży, odniósł śmiertelną ranę. Był jednym z dziewięciu wojowników, którzy zginęli podczas tej trwającej tak długo bitwy. Cieszył się niezmiernym szacunkiem i sympatią całego plemienia, żegnano go z powszechnym żalem. W oczach zarówno białych, jak i Indian uosabiał ideał wojownika. Tak opisywał go reporter „Harper's Weekly”, Theodore Davis, który uczestniczył w wyprawie Hancocka w 1867 roku: „Nigdy nie widziałem wspanialszego przedstawiciela rasy indiańskiej... pięknie zbudowany, miał ponad 180 centymetrów wzrostu... ubrany w mundur oficera armii amerykańskiej, obładowany bronią, podjechał na wspaniałym koniu do Hancocka i zaproponował rozmowę. Z jego zachowania było wyraźnie widać, że jest mu wszystko jedno czy będzie rozmawiał, czy walczył. Karabintu spencer wisiał na boku jego konia, za pasem zaś miał zatknęte cztery ciężkie rewolwery, podczas gdy w lewej ręce ścisnął luk i garść strzał”.

Stan Hoig, *The Peace Chiefs of The Cheyennes*, Norman, University of Oklahoma Press, 1980; George E. Hyde, *Life of George Bent*, Norman, University of Oklahoma Press, 1968.

Aleksander Sudak, *Leksykon 300 najsłynniejszych Indian*. Wydawnictwo „Akcydens”. Poznań 1995, stron 256, cena 29 zł.

Pokrywamy koszty przesyłki pocztowej. Prosimy o przedpłatę przekazem lub na konto:

Wydawnictwo „Akcydens”
ul. Kruszwicka 2a
61-045 Poznań

WBK Oddz. I w Poznaniu
Rk 356325-17952-136-72

lub

TIPI, Marek Maciolek
ul. Łąkowa 3
64-050 Wielichowo

GBW-BS w Wielichowie
Rk 963549-56531-2706-2

Najazdy Szoszonów i Bannoków na Oregońskim Szlaku 1859–1863

Rankiem 29 stycznia 1863 roku przy zimnie tak przenikliwym, że wódka zamarzła w manierkach, Ochotnicy Kalifornijscy pułkownika Patricka E. Connora przebrnęli ze swoimi końmi skutą lodem Rzekę Niedźwiedzią (Bear River), aby uderzyć na umocniony obóz Indian z plemienia Szoszonów. Bitwa stoczona wprost nad wąwozem, którym Rzeka Niedźwiedzia wdiera się w dolinę Wielkiego Słonego Jeziora (Great Salt Lake), zyskała sobie miano „najsroźszej i najkrwawszej, do jakiej doszło z Indianami na zachód od Missisipi”.

Bitwa była logicznym i prawdopodobnie nieuniknionym następstwem piętnastu lat starć między bezwzględnymi i agresywnymi białymi pionierami a wojowniczymi i równie agresywnymi tubylcami równin i gór. Pierwszy akt dramatu rozegrał się na wybrzeżu atlantyckim ponad dwieście lat wcześniej, a kolejne, przez nikogo nie polichzone, oglądano na całym kontynencie po Góry Skaliste. Widowisko zawsze wyglądało tak samo: najpierw osiedla białych rozlewały się – mówiąc słowami Alvina M. Josephy'ego – „jak plamy z tłuszczu szopa po nowym kocu”, a z biegiem czasu nieodpowiedzialni pionierzy bezmyślnie wybijali tubylców. Potem Indianie odplacali tym samym, niekiedy sami atakując pierws. Wówczas, by zakończyć „barbarzyńską wojnę”, opieszały rząd wysyłał wojsko umożliwiający dalszy podbój i po jej zakończeniu zawierał układ przesądający o „przeprowadzce” Indian do Oklahoma, do rezerwatu lub o ich ostatecznej zagładzie.

W okolicach Wielkiego Słonego Jeziora ten dobrze znany cykl łagodziły dwa inne czynniki. Przypierzmy się najpierw terenom zamieszkiwanym przez Szoszonów.

Gdyby student geometrii poprowadził linię biegnącą od Południowej Przełęczy (South Pass) do fortu Hall, stamtąd do górniego biegu rzeki Humboldt, następnie na północny wschód do Salt Lake City i z powrotem ku Południowej Przełęczy, narysowałby romb, w obrębie którego, za dawnych czasów, znajdował się istny labirynt emigranckich szlaków, takich jak Droga Sublette'a, Droga Kinneya, Droga Hudspetha, Droga Landera i pięćdziesiąt siedem innych pomniejszych i od dawna już zapomnianych. Owe szlaki zarówno prowokowały, jak i kuśliły okolicznych Indian. Po drugie, w osobach mormonów tubylcy odkryli białych osadników, którzy obrali łagodniejszą politykę wobec pierwszych władców tej ziemi. Przywódca mormonów, Brigham Young, głosił że „to oczywiste, że o wiele lepiej, bez większych wydatków, jest karmić i ubierać ich [Indian] niż zwalczać”.

Już w październiku 1849 roku oplakiwał on napad na „Węzów” dokonany przez emigrantów z karawaną dążącą do Kalifornii. Pisał do współwyznawców na wschodzie, że górnicy „zastrzelili kilka *squaws* i porwali im konie” i ubolewał, że „taka

banda straceńców i zbrodniarzy pozostała na wolności, co sprawi iż nieświadomi rzeczy Indianie będą chcieli się mścić na naszych złomkach”.

Takie bezmyślne okrucieństwo ze strony podróżujących białych skłaniało większość indiańskich przywódców do odejścia ze swymi ludźmi z sąsiedztwa „Świętej Drogi”, ale Szoszonom i Bannokom nie było łatwo to uczynić. Szlaki emigrantów krzyżowały się w samym sercu ich ojczyzny, a gdyby odeszli zbyt daleko, mogliby dostać się na terytorium Ute, Pajutów, Wron lub Czarnych Stóp, co doprowadziłoby do odwetu i rozlewu krwi.

Darzący przyjaźnią mormońskich osadników i nienawidzący szarańczy podróżników nawiedzającej ich tereny Szoszon i Bannokowie dokonali szeregu wzmagaających się za każdym razem najazdów w dziesięciolecie, jakie nastąpiło po wybuchu kalifornijskiej gorączki złota. W 1859 roku najdalej wysunięte na północ osiedla Utah w Ukrytej Dolinie (Cache Valley) musiały skierować połowę swych mężczyzn do budowy fortów, podczas gdy reszta oczekiwała śmierci podczas zasiewów i zbierania plonów. Takie to zaszły zmiany w przyjaźnych niegdyś stosunkach z sąsiednimi Szoszonami.

Usprowadliwienia prób odwetu ze strony Indian można się doszukać nawet w nieco tendencyjnych relacjach białych mieszkańców tych terenów. Korespondent „Deseret News” z okolicy Humboldt pisał w lipcu 1859 roku, że wielu emigrantów to ludzie najzupełniej nieodpowiedzialni za swe czyny i słowa. Kilku z nich przechodziło wczoraj koło nas i podczas pogawędki powiedzieli, że mają z sobą kupę strychniny, którą chcą poczęstować Indian. Przyszło mi na myśl, że takie rzeczy mogliby robić na własnym podwórku. Gdyby tak swe bogobojne zamiary zmienili w czyn, a rozwścieczeni tubylcy zmasakrowali niewinnych ludzi, to kto wie, czy nasi bezstronni i dociekliwi sędziowie nie dopatrzyliby się na dnie tego wszystkiego „intrygi mormonów”.

I w rzeczy samej, niektórzy z rządowych agentów do spraw Indian podzielali podejrzenia mormonów, że osadnicy podburzają

Indian przeciw obywatelom Utah. F. W. Lander donosił komisarzowi do spraw Indian w lutym 1860 roku, że ma wszelkie podstawy „by sądzić, że Gentile'owie¹ namawiają Bannoków i Szoszonów do napadania i rabowania mormonów”.

Sędzia D. R. Eckets pisał z obozu Floyd na terytorium Utah, informując ministra spraw wewnętrznych, że jest przekonany iż wiele ataków na emigrantów „planowali i prowadzili biali ludzie”. Niejaki Nelson Miltimore zeznał, że „Indianie”, którzy napadli jego karawanę 31 sierpnia „mówili dobrze po angielsku”, „nosili długie brody” i bez wątplenia byli „białymi przebranymi za Indian”. Nic więc dziwnego, że młodzi Szoszon czy Bannokowie, wyrosli w tradycji ceniącej nade wszystko zdobycie konia lub skąpu wroga, z chęcią naśladowali białych napadających innych białych.

Bezmyślni bądź wystraszeni wędrowcy często zabijali też pokojowo nastawionych Indian, co bynajmniej nie polepszało stosunków. Korespondent „Deseret News” z Brigham City opisał jak dwóch płaskogłowych zajęchało do obozu emigrantów w Górach Gęsiego Potoku (Goose Creek Mountains) by sprzedać „trochę skór jelenich” i od razu poniosło śmierć od kul zaskoczonych białych. Płonący żądzą zemsty płaskogłowi udali się po pomoc do pobliskich Szoszonów. Wyprawa wojowników obu plemion zaatakowała karawanę, zabiła pięciu mężczyzn i dwie kobiety, spłądowała wozy i uprowadziła wszystkie konie.

Starcia z Indianami latem 1859 roku sprawiły, że wojsko z obozu Floyd wyruszyło pilnować emigranckich szlaków. Mormoński sprawozdawca „Deseret News”, pisząc „ze szlaku koło rzeki Humboldta”, był jednak zdania, że przynosi ono więcej szkody niż pożytku. Przy ówczesnym silnym uprzedzeniu mormonów do federalnego wojska zdanie to nie brzmiało zbyt obiektywnie, ale inni, mniej stronniczy, obserwatorzy, donosili o podobnych wydarzeniach:

1. Gentile to nazwa, którą Indianie z Utah nadali nie-mormonom – przypis tłumacza.

Żołnierze wysłani z Pańskiego miasta do ochrony udających się do Kalifornii... wyrządzili stokroć więcej zła niż dobra... bili i poniżali mężczyzn, bezwstydnie i w sposób najbardziej odrażający gwałcili kobiety. Mogą uważać, że nędznych Indian nie stać na ludzkie odruchy, ale... znieważeni tubylcy wyrwą swą zemstę, jak tylko odejdą żołnierze. Kto może ich winić? Ci waleczni obrońcy emigrantów zrobili wszystko, by przynieść śmierć i rabunek setkom osób.

Zarządzający sprawami Indian w Utah F. W. Lander przytacza w swym raporcie słowa Pocatello, wodza Szoszonów, pragnącego pomścić „haniebne napadci” wędrujących do Kalifornii emigrantów, których ofiarą padła rodzina jednego z wodzów. Pocatello zakończył poniższymi słowami:

Serca jego ludu płoną nienawiścią do białych. Są sprawy, nad którymi nie może zapanować, a wśród nich chęć pomśzczenia przez jego wojowników krzywd, jakie biali wyrządzili jego plemieniu. Zabito wielu krewnych wojowników i nic tylko śmierć białego człowieka mogłaby ukoić ich ból...

SZOSZONI PÓŁNOCNI

Znaczenie nazwy nieznane. Zwan także: **Aliatan** – nazwa wzięta z języka Indian Ute i później stosowana na określenie wielu szoszońskich plemion, łącznie z Szoszonami właściwymi;

Bik-ta'-she – przez Wrony, znaczy „trawliste domy”;

E-wu-ha'-wu-si – przez Arapaho, znaczy „ludzie używający trawy lub kory do swych domów”;

Gens du Serpent – przez Francuzów;

Ginebigonini – przez Człpewejów, znaczy „ludzie węże”;

Kinebikowininiwak – przez plemiona algonkijńskie, znaczy „węże”;

Ma-buc-sho-roch-pan-ga – przez Hidatsa;

Miká-atí – przez Hidatsa, znaczy „trawliste domy”;

Mi'kyashé – przez Wrony, znaczy „trawliste domy”;

Pezhi'-wokeyotila – przez Lakotów, znaczy „mieszkania kryte trawlistą strzechą”;

Pi-ci'-kse-ni-tup'i-o – przez Siksi;

I śmierć nie dała długo na siebie czekać. Kiedy z Brigham City nadeszła wiadomość o zabiciu pięciu białych i dwojga ich dzieci u zbiegu szlaków Oregonieckiego i Kalifornijskiego, dowództwo obozu Floyd poleciło majorowi Izaakowi Lynde aby wraz z kompanią dragonów wystawił placówkę koło przeprawy przez Rzekę Niedźwiedzią, skąd stałe miały wyruszać patrole do pilnowania wypraw emigrantów. Porucznik E. Gay miał natomiast zbadać miejsce masakry i w miarę możliwości ująć jej sprawców. Kiedy przybył do Brigham City, pewni osadnicy donieśli mu, że duża grupa Indian obozuje w Dolinie Jesionokłonu (Box Elder Valley) leżącej po drodze do Ukrytej Doliny. Osadnicy oskarżali tych ludzi o kradzieże koni i bydła oraz zabicie siedmiorga emigrantów.

Gay postanowił atakować i po opuszczeniu Brigham City na czele czterdziestu dwóch ludzi uderzył przed świtem na śpiących Indian. Ci rzucili się ku stromym zboczom gór, ostrzeliwując się po drodze i po półtoragodzinnej nieustającej bitwie Gay wstrzymał pościg. Ocenił siłę Indian

Sin-te'-hda-wi-ca-sa – przez Yankton, znaczy „ludzie grzechotniki”;

Sisishanin – przez Atsina, znaczy „ludzie grzechotniki”;

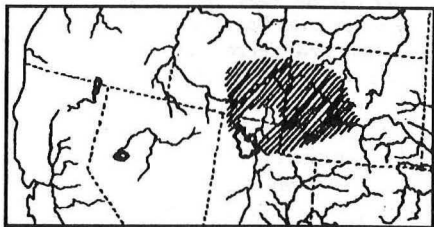
Snake Indians (Węże) – przez Anglików;

Snóá – przez Okanagon;

Wés'nikacinga – przez Omahów i Ponków, znaczy „ludzie węże”;

Zuzéca wicasa – przez Lakotów, znaczy „ludzie węże”.

Język: Północni Szoszoni należą do grupy dialektów Szoszon-Komancze **szoszońskiego** odłamu **uto-azteckiej** rodziny językowej.



na stu-dwustu wojowników, z których zabił dwudziestu, mając rannych sześciu swoich. Wkrótce otrzymał wiadomość, że dwustu Bannoków złączyło się z wrogami w Ukrytej Dolinie i że jeszcze większy obóz znajduje się za górami nad Niedźwiedzią Jeziorą (Bear Lake). Tragycznym następstwem tej zaciętej potyczki było zabicie adoptowanego syna Abrahama Hunsakera, „łagodnego indiańskiego chłopca”, który wypasał konie w Dolinie Jesionokłonu. Żołnierze zastrzelili go na miejscu, po czym wrócili do Brigham City, gdzie – jak poinformował sprawozdawca „Deseret News” – rozłożyli się „na wielkiej łące” za miastem, „najwidoczniej mając dość kanionów”.

W kilku dni po tym zajściu oddział majora Lynde napotkał karawanę prowadzoną przez niejakiego pana Shepherd. Opowiedział im o zasadzce, która przyniosła śmierć pięciu ludziom. Atak nastąpił w kanionie, gdzie wyprawa zatrzymała się, by obejrzeć chorego konia. Oprócz zabitych „zełżono bezwstydnie pewną kobietę i złamano jej nogę, a małe dziecko, wyrzucone

w powietrze, upadło na ziemię i złamało nogę”. Napastnicy odjechali z trzydziestoma pięcioma koniami, „dwoma złotymi zegarkami, jednym srebrnym i blisko tysiącem dolarów w gotówce”. Indiański chłopiec z grupy Pocatello powiedział Lynde'emu, że szoszońskimi przywódcami w tym ataku byli Jag-e-ah (Noszący Strzały), Saw-wich (Para Buchająca z Brzucha Krowy), Ah-gutch (Łosoś), Jah-win-pooch (Woda Płynąca Ścieżką) oraz Jag-en-up (Mgła po Deszczu). Major Lynde podzielił się swymi podejrzeniami, że napastników „zachęcali” obywatele Utah, aby porywali konie i bydło dla wzbogacenia Imperium mormonów.

Kiedy duszne „psie dni” sierpniowe ustąpiły wrzesniowi, indiańskie najazdy nasiliły się. Zaatakowano grupę podróżnych dowodzoną przez kapitana Daniela Bealsa; zginął jeden mężczyzna, a drugiego, Jacoba Pollinsa, rannego w obie nogi, znaleziono na drugi dzień pośród płonących spławianych wozów. W kilka dni później Milton J. Harrington, członek „Buchanan Co.” z Iowa, powiadomił o napa-

Rozmieszczenie: Północni Szoszoni zajmowali wschodnie tereny Idaho, poza terytorium, które zajmowali Bannokowie; zachodnią część Wyomingu i północno-wschodnie tereny Utah.

Podział: Północni Szoszoni składali się z grup prowadzonych przez bardziej znanych wodzów; były one bardzo niestabilne, często pojawiały się nowe grupy, a stare zanikały. Wioski:

Rzeka Lehmi i środkowe Idaho:

Bohodat, blisko rozwidlenia rzeki Łososłowej (Salmon River) i w górę tej rzeki, gdzie czasami zimowało kilka rodzin **Sohodat**; **Guembeduka**, na północ od miejscowości Salmon;

Padat, rozrzucone wzdłuż rzeki Lemhi, blisko Łososłowej;

Pagadot, nad strumieniem Czerwonej Skali (Red Rock), blisko miejscowości Lima w Montanie. Możliwe że kilka rodzin żyło blisko Dillon w Montanie;

Pasastigwana, przy gorących źródłach w północnej części gór Clayton;

Sohodat, w górę od rozwidlenia na rzece Łososłowej, blisko Three Rivers.

Szoszoni z Fortu Hall: Grupy te nie posiadały nazw.

Szoszoni znad Strumienia Bannock (Kamdüka), grupa Pocatella:

Blagamugep, główna wioska, blisko Kelton. **Kwagunogwai z Ukrytej Doliny (Cache Valley):** wzdłuż rzeki Logan, powyżej miejsc, gdzie łączy się z rzeką Little Bear.

Dolina Jeziora Stonego (Salt Lake): uważa się, że istniały też grupy w Ogden, Weber i Dolinie Jeziora Stonego, lecz ich nazwy nie zachowały się. Czasami zwani byli Ute, lecz Julian H. Steward jest zdania, że byli oni blisko spokrewnieni z Szoszonami.

Historia: Przed pierwszymi kontaktami z białymi, Północni Szoszoni posuwali się na Równinach ku wschodowi. Atakowani byli pośrednio przez rząd hiszpański na południu i południowym zachodzie. Dopiero w 1805 roku spotkali się z wyprawą Lewisa i Clarka, prowadzoną przez słynną kobietę, zwaną Sacajawea i od tego czasu ich kontakty z Amerykanami stały się po-

dział na jego karawanę, podczas którego zabito osiem osób, a zwioki „straszliwie pokaleczono i oskałpowano”.

Pięcioletniej dziewczynce ucięto nóżki tuż przy kolanach, ucięto uszy i wydłubano oczy. Nie dość na tym: po odrąbaniu nóg zmuszono dziecko do czółgania się na ich kikutach – tylko po to, by zaspokoić piekielną skłonność do wyuzdanego okrucieństwa.

Lista indiańskich ataków wydłużała się. O jednych pisano w owym czasie, o innych wiedzieli tylko ich sprawcy; wszystkim towarzyszyły akty niesamowitego okrucieństwa. Armia zaś stanęła wobec bezradnego zadania patrolowania 800 mil poplątanych dróg emigranckich od Południowej Przełęczy w Wyomingu po Humboldt w Nowadzie. F. W. Lander sugestywnie opisał rozpaczliwe próby pochwylenia przez wojsko tego błędnego ognika, jakim byli Szoszonni i Bannokowie, którzy „stałe trzymają gońców” aby „powładami odległe grupy o zbliżaniu się żołnierzy. Wprost ośmieszają oni chcąc ich zaskoczyć regularne wojsko.” Powszechnie spotykane

wszechne. Północni Szoszonni, zwłaszcza grupa pod wodzą Washakie, była nastawiona do białych niezwykle przyjaźnie. Ostatecznie zebrani zostali nad Lemhi w rezerwacie Fort Hall w Idaho. Traktat zawarty 3 lipca 1869 roku w forcie Bridger pozbawił Bannoków i wschodnią grupę Szoszonów wszystkich praw do swych terytoriów w Wyomingu i Idaho, poza rezerwatem Wind River dla Szoszonów i oddzielnym rezerwatem dla Bannoków, jeśli będą tego chcieli. 30 lipca 1869 roku wyznaczono dla Bannoków rezerwat Fort Hall, który później w części zajęli też Szoszonni. 12 lutego 1875 roku dla tych dwóch plemion założono rezerwat Lemhi, do którego przeniosła się także grupa Zachodnich Szoszonów.

Liczebność: W 1928 roku James Mooney oszacował Szoszonów na 4.500 w 1845 roku, wliczając w to Szoszonów Zachodnich. Powszechny spis ludności w Stanach Zjednoczonych w 1910 podaje liczbę 3.840 „Szoszonów”, z których dwa tysiące należało do Szoszonów Północnych. Raport

w raportach dowódców karnych ekspedycji zdanie brzmiało: „Nie widziano żadnych Indian”. Kiedy już spokojni Indianie naprawdę zjawiali się w obozach żołnierskich, zawsze istniało niebezpieczeństwo, że jakiś narwany dragon może do nich strzelić, kiedy zaś wódz Pocatello przybył do porucznika Gaya i ten kazał zakuć go w kajdany, wtedy major Lynde uwolnił indiańskiego przywódcę mimo gniewnych pomruków szeregowców. Żołnierze z pewnością zgodziliby się z wydawcą „Deseret News”, gdy pisał: Dlaczego nie był dobrze pilnowany? I za czyją sprawą pozwolono mu zbiec?

Znaczenie obrony łączyło się nierozrwalnie z ogromnym ruchem emigrantów, jaki miał miejsce w tych latach na Równinach i z niemożnością lub czystą przekorą, z jaką wędrowcy nie chcieli zadbać o swe własne bezpieczeństwo. Lynde donosił raz o spotkaniu jednego tylko dnia blisko trzystu wozów, z których na każdy przypadały przeciętnie cztery osoby z przynajmniej „śledzioma tysiącami sztuk bydła”. Podróżujący, choć czasem uzbrojeni, trzymali

Biura do Spraw Indian w 1917 podaje liczbę 2.200. Spis ludności z 1930 roku zanotował 3.994 Szoszonów Północnych i Zachodnich. W 1937 Biuro do Spraw Indian zanotowało 3.650 samych tylko Szoszonów Północnych.

BANNOKOWIE

Od ich własnej nazwy *Banák-wút*. Zwanii także:

Kopacze (Diggers) – wielu pisarzy;

Ogoize – przez Indian Kalispel;

Panai'ti – od nazwy nadanej im przez Waltera J. Hoffmana w 1886 roku;

Pun-nush – przez Szoszonów;

Rabusie (Robber Indians) – przez Aleksandra Rossa w roku 1855;

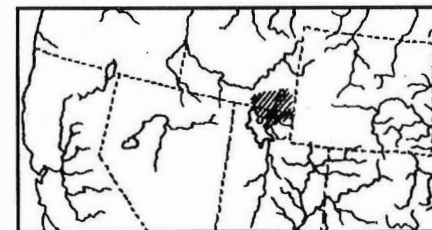
Ush-ke-we-ah – przez Wrony.

Język: Bannokowie należeli do **szoszońskiego** odłamu **uto-azteckiej** rodziny językowej. W istocie oderwali się od Północnych Pajutów.

rozładowaną broń w wozach i śmiali się z majora, gdy ostrzegał ich przed możliwością nagłego ataku. Tak łatwy łup był zbyt wielką pokusą dla dumnych niezależnych Szoszonów i Bannoków, którym wszelkie środki utrzymania niszczył napływ emigrantów i ich bydła.

I kiedy po zdążających na zachód pielgrzymach zostawali tylko kłęby kurzu i stosy śmieci, zatroskani o niepewny los swych osiedli zostawali mormoni pośród do głębi wzbudzonych, często głodnych wojowniczych Szoszonów i Bannoków. Indianie zaczęli kraść konie północnym farmom z Ukrytej Doliny i podobno „oszaaleli” na wieść, że mormoni chcą wskazać żołnierzom drogę do ich obozów. Wojskowy plan trzymania przez całą zimę u przeprawy na Rzece Niedźwiedziej stacjonujących tam żołnierzy w celu „zagłodzenia Indian”, prasa mormońska ośmieszyła jako „oryginalny sposób na rozpętanie indiańskiej wojny”. Wydawca dodawał zgryźliwie: „Przyszłość pokaże jak wielu oficerów dosłuży się awansu za *bohaterską i chwałębną postawę* podczas działań”.

Rozmieszczenie: W czasach historycznych głównym obszarem przez nich zamieszkiwanym było południowo-wschodnie Idaho i zachodni Wyoming, na wschód od głównego łańcucha Gór Skalistych. Z czasem doszli do rzeki Wężowej (Snake). Przez pewien czas rozsiani byli aż po rzekę Łososiową na północy i Montanę na południu.



Podział: Istniało kilka lokalnych grup, które nazywały się następująco: *Kutsshundtka*, czyli „Zjadacze Bizonów”; *Penointtikara*, czyli „Zjadacze Młodu”; *Shohopanaiti*, czyli „Bannokowie Topolowi”, choć nie były to konkretne podgrupy.

U korzeni kłopotów z Szoszonami leżały obojętność i beztroska, z jaką rząd federalny traktował tych Indian. Pozostawieni sobie samym, zamieszkiwali oni kraj leżący tam, gdzie na wschodzie stykały się terytoria Waszyngtonu i Oregonu, wędrując jednocześnie po północne krańce Terytorium Utah i wschodnie Terytorium Nowadzy, zaś urzędnicy Biura do Spraw Indian wiedli jałowe spory, komu mają oni podlegać. Zarządzający sprawami indiańskimi w Nowadzie pytał komisarza, czy plemię znajduje się w „zasięgu jego Inspektoratu”. Major John Owen z fortu Owen w zachodniej Montanie otrzymał od swego zwierzchnika rezydującego w oregońskim Portland kłopotliwą wiadomość, że Szoszonni i Bannokowie przechodzą czasowo pod jego opiekę, w związku z czym ma zwołać wielką radę, na której zostanie rozdana Indianom żywność i odzież. Choć oddalony od nich o setki mil, Owen wielokrotnie próbował wykonać swe zadanie, lecz wszystko spełzło na niczym, gdyż obiecanych przydziałów nigdy nie dostarczono. Niedoleżni

Historia: Bridger spotkał ich w 1829 roku, lecz kontakty między nimi a białymi stały się bardziej zażyłe wraz z powstaniem fortu Hall w 1834 roku. W 1869 roku utworzono dla nich i Szoszonów rezerwat Fort Hall; Bannokowie jednak mieli w zwyczaju dalekie wędrówki związane z ich bytowaniem opartym na zbieractwie. Domagali się terytorium w południowo-zachodniej Montanie, gdzie leżą Virginia City i Bozeman, któredyś zawsze przekraczali góry do doliny rzeki Łososiowej. Przed rokiem 1853 zostali zdziśiatkowani przez ospę i ostatecznie zebrali się w agencjach Lemhi i Fort Hall. Utrata ziemi i brak stad bizonów oraz brak szybkiej pomocy ze strony rządu wywołały w 1878 roku powstanie, które zostało stłumione przez gen. O.O. Howarda.

Liczebność: W 1829 roku Bridger ocenił ich liczebność na około 8 tysięcy ludzi i 1.200 domów. James Mooney w 1928 roku oszacował liczbę Bannoków w 1845 roku na około tysiąc osób. Spis ludności z 1910 podaje liczbę 413, a z 1930 – 415. W 1937 było ich 342. Oprac. Miś i Fiedla

bądź pozbawieni skrupułów agenci skutecznie udaremniłi próby dostarczania towarów. Owen dzielił się otrzymanymi ostrzeżeniami o napadach Szoszonów i Bannoków na karawany emigrantów: „W sytuacji, w jakiej się znajdujemy, widzi Pan, że nie możemy pozwolić na zwłokę w sprowadzeniu przydziałów”.

Urzednicy z Utah również apelowali do komisarza do spraw Indian, wykazując że Terytorium Utah zawsze było obszarem otwartym dla osadnictwa, gdzie nie próbowano wcześniej skłonić Indian do zrzeczenia się ich praw do ziemi. Ich zdaniem zaniedbanie to jest przyczyną licznych napadów na wędrowców, podczas gdy inne plemiona zachodu pobierały tysiące dolarów w gotówce i towarach. Szoszon i Bannokowie „głęboko wierzą, że postępują słusznie, gdyż zabrano im kraj, nie pytając ich o zgodę, zniszczono trawę i wodę, wypłoszono zwierzyinę, a ich samych skazano na poniewierkę i głód”. Oficjele następująco przedstawiali nastroje tych Indian:

Wystarcza im wiedzieć, że Wielki Duch dał ten kraj ich ojcom; by nie głodowali, zesłał jelenie i antylopy, a wszystko co im zostało po przodkach to ich groby i tereny myśliwskie. Wiedzą już dobrze, że z innymi Indianami zawarto traktaty, mocą których kupiono od nich ziemię, więc zzymają się i zachowują wrogo, gdyż podobnie nie postąpiono z nimi.

Wszystkie te ostrzeżenia nie zdały się na wiele. Trzeba było dopiero krwawego starcia nad Rzeką Niedźwiedzią, by zwrócić uwagę władz na potrzebę uznania praw obu plemion, zawarcia z nimi układu i dostarczenia przydziałów.

W tym czasie Indianie zachowywali się w sposób ustalony od pokoleń: wyprawiali się daleko w poszukiwaniu żywności, porywali konie niezbędne do zdobycia środków utrzymania i sławili zbierali skóry, którymi musiał wykazać się wojownik. Wszystko to stało się łatwiej dostępne, gdy pojawili się beztroscy biali w swych krytych wozach, naładowanych wszelkimi dobrami.

Lato 1861 roku w małym stopniu przypominało najazdy na karawany, jakie widział rok ubiegły. Przesunęły się nieco na



zachód i takie nazwy jak Dolina Słownia, Głęboki Potok (Deep Creek), Kanion Antylopy (Antelope Canyon) i Rubinowa Dolina (Ruby Valley) pokazały się na łamach gazet. Nie znaczy to, że inne okolice były bezpieczne, toteż jedna wyprawa straciła wszystkie wozy i zapasy oraz sto czterdzieści „luźnych koni” podczas najazdu Indian koło City of Rocks, blisko dziesięćdziesiąt mil na zachód od fortu Hall.

Placówki „Pony Express” również poznały co to strach, zgłiszczą i śmierć. Po zaciętej bitwie przy stacji nad Głębokim Potokiem dziesięciu żołnierzy odparło stu pięćdziesięciu Indian, zabijając czterestu przecelników i tracąc dwóch swoich. Sprawozdawca „Deseret News” pisał, że żołnierze „mają sobie za uciechę zwalczać znakomicie uzbrojonych Indian, ale nie wtedy, gdy ci się kryją wśród skał i drzew”. Czasami wojownicy ukazywali się na wzgórzach „potrząsając bronią i wyjąc jak szatan”. Na stacji w Muszlowym Potoku (Shell Creek) agent z dwoma pracownikami obronili się przed napadem, a potem zabrali tyle zapasów, ile mogli i pospieszili do Głębokiego Potoku po posiłki. Przybyła na miejsce odsiecz zastała stację w popiołach.

Na zachód od Słonego Jeziora położenie stało się tak groźne, że osadnicy porzucili swedomy w Dolinie Słownia i poskarżyli się w Salt Lake City, że obecność kilku żołnierzy

zmieniła dawniej przyjaznych Indian we wrogów, którzy „strzelają na widok każdego białego”. Inni mormoni z Ukrytej Doliny również przecierpieli próby przymusowego zaznajamiania tubylców z amerykańskim prawem, całkowicie różnym niż plemienne obyczaje. Obywatele Smithfield zatrzymali pewnego Indianina pod zarzutem kradzieży konia, chcąc mu wytoczyć „uczciwy proces”. Nie pojmując subtelnych zawłości owych prawnych manewrów, dziesięciu towarzyszy szoszońskiego wojownika zajęło przed budynek, gdzie był wzięty i wezwalo go do wyjścia. Kiedy to uczynił, kapitan straży wydał podkomendnym stosowny rozkaz, a ci zastrzelili rzekomego uciekniara. W odwecie wojownicy uderzyli na małą grupę białych, zabijając bez ostrzeżenia jednego z nich i raniąc dwóch. Następnie zabili jednego i ranił drugiego z dwóch napotkanych po drodze braci. Pościg nie dogonił sprawców i „Deseret News” doszedł do wniosku, że tylko siłą można poskromić wrogów i „w końcu trzeba do niej sięgnąć”.

Z nadejściem zimy Indianie wrócili do swych szałasów, osadnicy sprowadzili stada bliżej domów, potencjalni emigranci zbierali się na posiedzeniach w dolinie Missisipi, planując przyszłoroczną wędrowkę i pokój znów zapanował w prowincji Wasatch. Indiańscy agenci wzięli się do pisania corocznych sprawozdań, prosząc raz jeszcze o to samo: o przydziały dla Szoszonów i Bannoków, o zawarcie układu, który trzymałby ich z dala od szlaków emigrantów i o ukaranie białych złoczyńców, stale nękających Indian. John Owen w gorących słowach wstawiał się za swymi „Wężami”:

Jestem całkowicie przekonany, że łagodne traktowanie i skromny wydatek kilku tysięcy dolarów rocznie na ich potrzeby skłoniłby tych Indian do odstąpienia od łupieskich najazdów i osiedlenia się w okolicach Rzeki Łososiowej (Salmon River), gdzie można by ich nauczyć uprawy ziemi. Dwanaście lat temu Indianie ci byli przysięgniymi przyjaciółmi białych. Zatrudniałem ich młodych jako myśliwych, pasterzy, przewodników etc., etc. Wędrowałem ze stadami bydła po całym kraju nie doznając najmniejszych przykrości. Ich obecnej wrogości

winne jest w dużej mierze postępowanie niegodziwych białych, przechodzących przez ich kraj. Rabowano ich, mordowano, gwałcono im kobiety i to w taki sposób, że na samą myśl drży serce. To są niepodważalne fakty. Nie pragnę bynajmniej bronić tych Indian przed zasłużoną karą, chcę tylko powiedzieć, że niemal wszystkie okoliczności przemawiają na ich korzyść. Ten ponury obraz nie jest jeszcze tak odmalowany jak powinien...

Ten „ponury obraz” nie rozjaśnił się z nadejściem letniego słońca i Owen znów prosił we wrześniu o żywność i odzież dla „wędrownych grup Wężów i Bannoków”. Podkreślał, że „zmniejszająca się ilość zwierzyiny i stały napływ poszukiwaczy złota na ich ziemię” wymagają pewnej troski „w imię człowieczeństwa, jeśli już niczego więcej”.

Gazety donosiły o oplakanej sytuacji wlewu Indian. „Deseret News” z 20 lutego opisały jak znaleziono pewnego martwego Indianina o pół mili od stacji „Pony Express” nad Potokiem Roberta, dokąd szedł po żywność i „zmarł po drodze z zimna i głodu”. Nawet jeśli paru agentom udało się zdobyć trochę jedzenia i odzieży dla swych podopiecznych, biali handlarze wymieniali swój tani alkohol za drogie towary, zostawiając w nędzy pijanych Indian. Zarządzający indiańskimi sprawami w Oregonie pisał do swego zwierzchnika ze stolicy, że Szoszon i Bannokowie skarżą się iż agenci rządu nigdy nie rozmawiali z nimi, nigdy nie przekazali im darów, nie poczęstowali ich tytoniem ani nie wypalili z nimi fajki, natomiast Czarne Stopy i inne plemiona otrzymały od nas dary za zgodę na wybudowanie dróg w ich kraju.

Choć władze federalne wciąż nie zwracały uwagi na ich żądania, Szoszon i Bannokowie nie przeprowadzili w 1861 roku tylu najazdów, co w poprzednich dwóch latach. Tym większego rozgłosu nabrała sprawa uprowadzenia latem czworga dzieci, po szczególnie krwawym ataku na tabor, liczący czterdziestu czterech podróżnych, u Wodospadów Łososa na Rzece Wężowej (Snake River). Major John Owen miał nie szczędzić starań, by odzyskać jeńców, przy czym powiadomiono go, że wojsko planuje jednoczesny atak na rozbójnicze bandy

czerwonoskórych wiosną 1862 roku. Podobne plany wobec rozbójniczych band konfederatów w Wirginii zarzucono jednak o wiele wcześniej niż powyższy.

Ciągłe kłopoty z Indianami z okolic Grantsville, leżącego na zachód od Salt Lake City, trzymały w pogotowiu osadników. W końcu pojмали jedenastu Szoszonów i Gosiutów, uwolnili trzech, aby sprowadzili zagarnięte bydło, a pozostałych zatrzymali jako zakładników. Ci jednak obezwładnili straż i umknęli. Donosząc o tym, jeden z przywódców osiedla pisał: „Ci Szoszonni są tak zdeprawowani, że Gosiutowie boją się ich i nie śmiał wyrzucić ze swej ziemi”. Nawet mieszkający tuż koło mormońskiego Syjonu, biskup Miller z Mill Creek Ward, leżącego na południe od Salt Lake City, skarżył się na obóz Indian liczący dwadzieścia namiotów, którzy od kilku tygodni żyją kosztem osadników, a ostatnio porąbali im ploty i odpędzili bydło. By powstrzymać ich od rabunków, mormoni sami zaopatrują Indian, „szczególnie w wołowinę, za którą czerwonoskórzy przepiadają”. Dwudziestu Szoszonów z Ukrytej Doliny pod wodzem, łowcą Niedźwiedzi przybyło do Salt Lake City na rozmowę z zarządzającym sprawami Indian oraz po odebranie darów, a wśród nich po „kompletny męski garnitur”, w którym wódz czuł się „znakomicie”.

Stare pomówienia mormonów o koczowniczość z Indianami odżyły na nowo po napadzie na tabor emigrantów koło City of Rocks. „Silver Age” z Carson City podawał, że czterdziestu napastników było białymi przebranymi za Indian i że „niektórych z bandy rozpoznano jako mormonów”. Chyba do największej tragedii w lecie doszło poniżej Wodospadów Łososa na Rzece Wężowej, kiedy Szoszonni i Bannokowie zabili jedenastu członków wyprawy idącej do Oregonu, przepędzili resztę i spłodowali wozy. Niedobitki dowlokły się do agencji Umatillów „całkowicie wyczerpani, nie jedząc nic przez dwadzieścia jeden dni prócz kawałka suszonej koniny”.

Pod koniec 1861 roku sytuacja Szoszonów i Bannoków, którym przepędzono

zwierzynę i zniszczono pastwiska, stała się rozpaczliwa. Jeden z indiańskich agentów, Benjamin Davis, który odwiedził Gosiute-Szoszonów z północno-zachodniego Utah w styczniu tegoż roku, znalazł ich „w skrajnej nędzy, cierpiących i zagłodzonych... ich ubóstwa, cierpień i rozpacz nie opisać się w żaden sposób”. Kiedy zapytał, dlaczego tak mało dzieci między nimi, odparli że: odkąd biali ludzie przepędzili bizony i jelenie, nie mają czym je nakarmić. Dlatego „kładą je za glazem”, co znaczy, że umierające zostawiają na ziemi na żer wilkom.

W Rubinowej Dolinie Davis spotkał się z blisko ośmiuset Zachodnimi Szoszonami i Bannokami, których z trudem przekonał, że nie jest mormonem i że „Wielki Kapitan” z Waszyngtonu również nie jest mormonem, lecz Amerykaninem. □

(dokończenie w następnym numerze)

Brigham D. Madsen

Przetłumaczył Aleksander Sudak

Brigham D. Madsen jest obecnie emerytowanym profesorem historii Uniwersytetu Utah w Salt Lake City. Jest specjalistą od historii Szoszonów i Bannoków, od stosunków między mormonami a Indianami i od historii emigracji do Kalifornii i Oregonu. Napisał m.in. *The Bannock of Idaho* (niewielkie fragmenty tej pracy ukazały się jako 21 tom Biblioteki „Tawacinu”), *The Lemhi: Sacajawea's People*, *The Northern Shoshoni* oraz *The Shoshoni Frontier and the Bear River Massacre*. W polskiej wersji eseju „Najazdy Szoszonów i Bannoków na Oregon” Szlaku 1859–1863” pominięto liczne przypisy Autora, zawierające adresy bibliograficzne ówczesnej korespondencji wojskowej i urzędowej, a także artykułów prasowych, całkowicie niedostępnych w Polsce. Przekład i publikacja w „Tawacinie” za uprzejmą zgodą Autora i Utah State Historical Society, reprezentowanego przez panią Miriam B. Murphy, zastępcę red. naczelnego kwartalnika „Utah Historical Quarterly”, w którym zimą 1967 roku, Vol. 35, No. 1 ukazał się ten esej. (Copyright © 1967 by Utah Historical Quarterly).

HAKO

Pauniska ceremonia umacniania więzi życia

Ceremonia ta znana jest pod wieloma nazwami. *Kura'hus* (Kapłan Hako) nazywa ją *Skari*, co znaczy „wiele rąk”. Główna grupa plemienia Paunisów nazywa ją *Ruktaraiwari* (Drewniane Kije Nadchodzą Trzęsąc się), Osedżowie mówią o niej „Przynosić Bęben”, a Omahowie – „Śpiewać Z”. Niektórzy Paunisi, a przede wszystkim ta grupa, która podczas ceremonii przyjmuje gości, nazywa ją *Haktara* (Oddychając Drewnianym Otworem). Nazwa *Hako*, używana przez etnologów nie jest w rzeczywistości nazwą tej ceremonii, a tylko ogólnym terminem na oznaczenie wszystkich przedmiotów, które są częścią rytuału.

Do przeprowadzenia *Hako* potrzebne są dwie grupy, z których jedna składa rytualną wizytę drugiej. Grupy te nie mogą należeć do tego samego klanu, bardzo często pochodzą z dwu różnych plemion. Pierwsza grupa, nazywana Ojcami, tworzona jest z mężczyzn, którzy organizują ceremonię i decydują, że w ogóle się odbędzie. Lider tej grupy nazywany jest Ojcem, Jego grupa może składać się od dziesięciu do stu osób. Druga grupa nazywana jest Dziećmi i w jej skład wchodzi mężczyzna oraz jego krewni, wybrani przez Ojca do złożenia wizyty grupie Ojców. Lider drugiej grupy nazywany jest Synem. Tak więc Ojcowie, prowadzeni przez Ojca, składają rytualną wizytę Dzieciom prowadzonym przez Syna.

W dawnych czasach Ojcem zwykle był wódz. Od początku XIX wieku coraz częściej była nim wybitna postać plemienia, posiadająca dużą liczbę krewnych, którzy mogli dostarczyć potrzebne do rytuału przedmioty. Kapłan, który opiekował się relikwiarzem poświęconym deszczowi, należał do grupy Ojców, Jego obowiązkiem było dostarczenie fajki oraz prowadzenie ceremonii poświęcenia dymu Tira'wie. Do grupy Ojców należało dwóch Świętych Ludzi (*holy man*), którzy posiadali umiejęt-

ność leczenia ziołami. Podczas podróży do Dzieci, każdy ze Świętych Ludzi niośł skrzydło orla. W grupie znajdowali się również pieśniarze, którzy nieśli bęben i występowali jako chór *Kura'hus*, prowadzący pieśni podczas ceremonii. Wstępny rytuał odbywał się w namiocie Ojca, a stąd grupa wyruszała w swoją podróż do Dzieci.

Pierwotnie ceremonia ta miała prawdopodobnie na celu spełnienie życzenia posiadania potomstwa, później nieco się zmieniła i miała na celu zapewnienie przyjaźni i pokoju między grupami osób należących do różnych klanów i plemion. *Hako* nigdy nie miała stałego terminu, nie była związana ani z okresem zasiewów, ani ze zniwami, polowaniami czy wojną, jak również z żadnymi innymi świętami plemiennymi. Czasami odbywała się wiosną w okresie parzenia się ptaków, czasami latem, kiedy ptaki zakładały gniazda i dbały o swe pisklęta, a czasami jesienią, kiedy ptaki łączyły się w stada; natomiast nigdy zimą, kiedy wiele rzeczy spało.

Święty człowiek Paunisów tłumaczył, że podczas *Hako* modlimy się o dar życia, siły, dostatku i pokoju, dlatego też modlitwy te musimy składać wtedy, kiedy dookoła tętni życie.

Podczas niektórych ceremonii używa się dekorowanych cybuchów, ale bez lulek, co prawdopodobnie związane jest z długą rytualną historią stosowania kijów ozdobionych piórami, zupełnie nie związaną z paleniem tytoniu. Cybuch fajki ściśle związany jest z oddechem życia, tak istotnym w światopoglądzie Indian. Ceremonia *Hako* wymaga stosowania właśnie takich udekorowanych cybuchów.

Ogólnie forma ceremonii *Hako* jest prosta, pomimo wielu pozornie skomplikowanych pieśni i wydarzeń. Idea *Hako* jest pokojową podróż z wizytą jednej grupy do drugiej. Członkowie grupy gospodarzy są adoptowani przez gości jako synowie i w ten sposób obie grupy symbolicznie tworzą węży krwi. Centralnym elementem podróży *Hako* jest kukurydza. Matka Kukurydza w postaci udekorowanego kaczana białej kukurydzy prowadzi pielgrzymów w ich drodze. Na ogół tylko wódz mógł nieść Matkę Kukurydę. Obecnie niesiona jest przez Ojca lub jednego z kapłanów. Duża grupa Ojców wygląda imponująco, kiedy wyrusza pieszo przez prerie w odwiedziny do sąsiedniej grupy. Na czele kroczy kapłan niosący Matkę Kukurydę owiniętą w skórę żbika. Obok niego idzie Ojciec oraz święty człowiek *Hako* ze swymi asystentami, niosący dwie tzw. „oddychające drewniane rurki”, czyli cybuchy fajek, które zostały udekorowane jako część rytuałów przygotowawczych samej ceremonii. Cybuchy są ozdobione na całej długości symbolicznymi piórami oraz malunkami. Za świętym człowiekiem kroczy dwóch kapłanów ze skrzydłami orłów, którymi odgarniają zło ze ścieżki, po której kroczy grupa. Następnie maszeruje wielu pieśniarzy ze swoimi bębniami. Na końcu za procesją idą mężczyźni, kobiety i dzieci, czyli wszyscy krewni, nawet dalecy, z rodziny Ojca; prowadzą oni konie obładowane podarunkami i zapasami żywności.

Procesja bardzo wolno przemierza prerię, co jakiś czas zatrzymując się na kontemplację albo na odśpiewanie pochwały dla swej ziemi. Podczas marszu kapłan nieustannie apeluje do Matki Kukurydzy, aby ta pro-

wadziła ich właściwą drogą, ponieważ Wszechmogący, czyli Tira'wa dał jej możliwość prowadzenia Ojców w ich podróży.

Dzieci, czyli ludzie z wioski gospodarzy są oczywiście poinformowani o tym, że nadchodzi grupa *Hako*, tak więc są dobrze przygotowani na przyjęcie swoich gości. Kiedy przybywają Ojcowie, ceremonialnie zapala się fajkę, a następnie odbywa się kilka wspólnych poczęstunków. Goście wspinalą procesję, śpiewami i machaniem piórami orla, uświęcają namiot, w którym się zatrzymują.

Najważniejszym wydarzeniem ceremonii *Hako* jest rytuał adopcji. Główną osobą nie jest lider wioski Dzieci, ale określona młoda osoba (zwykle syn tego lidera). Chłopcę się namaszcza, ceremonialnie maluje i obdarza symbolami długiego życia i powodzenia. Następnie dwóch młodzieńców tańczy z cybuchami fajek udekorowanych piórami, reprezentującymi orla, który pełni straż nad gniazdem i reprezentuje także oddech życia. Dziecko, czyli Syn – jak jest teraz nazywany – otrzymuje święte przedmioty używane w ceremonii *Hako*, w tym pomalowany kaczan kukurydzy reprezentujący Matkę Kukurydę. Czubek kolby jest pomalowany na niebiesko, co symbolizuje niebo. Od niego biegą cztery błękitne linie, do połowy długości kaczana, symbolizujące cztery ścieżki, którymi schodzą duchy w celu służenia człowiekowi.

Kulminacyjnym punktem ceremonii *Hako* jest zjednoczenie Ojca, czyli grupy wizytującej i Syna, czyli grupy gospodarzy. Połączenie starego z nowym. Ceremonia *Hako* jest modlitwą za dzieci, aby plemlona mogły powiększać się i umacniać, aby ludzie żyli długo i szczęśliwie w pokoju.

Najważniejszym rytuałem wstępnym w ceremonii *Hako* jest malowanie Matki Kukurydzy. W drewnianym naczyniu kapłan miesza niebieską glinę z wodą zaczerpniętą z płynącego obok strumienia i podczas malowania kaczanu śpiewa. Symbolizuje to podróż Matki Kukurydzy z ziemi do miejsca, gdzie rezyduje Wszechmocny. Po przybyciu tam, zostaje uświęcona a następnie wraca na ziemię, aby prowa-

dzić procesję, która ma przynieść pokój, jedność i dostatek.

Podczas gdy kapłan maluje fajki, ludzie śpiewają i proszą, aby życie zostało dane cybuchowi, który symbolizuje miejsce na niebie, gdzie mieszka Tira'wa. Miejsce, gdzie cybuch łączy się z lulką, kapłan maluje na kolor czerwony ponieważ droga, którą przebywa życiowy oddech jest czerwona. A oto pieśń wykonywana podczas malowania:

Teraz bierzemy niebieską farbę,
która jest emblematem otwartego
nieba, gdzie mieszkają moce
które przynoszą nam dobre
dary życia i dostatku.
Teraz bierzemy zieloną farbę,
która jest podobna do Matki Ziemi
i prosimy Wielkie Niebiosa
o szczodre błogosławieństwa
dla Matki Ziemi
O Kawas, przybądź na
rozpostartych skrzydłach
na jasne niebo.
O Kawas, przybądź i daj
nam wszystkim nowe życie.

Kawas to orzeł brunatny, który Tira'wa uczynił świętym; jego pióra są przywłaszczane do cybuchu fajki.

Pieśń do Matki Kukurydzy:
Słuchaj Tirawa!
Ty który jesteś tak potężny
nad nami na bezkresnym cichym
niebie.
Słuchaj! Ona stoi przed tobą.
Matka Kukurydza stoi zielona
przed tobą.
Matka Kukurydza została
stworzona, aby nas prowadzić,
a my będziemy za nią podążać
w naszej podróży.

Matka Kukurydza osiąga błękitne sklepienie świata, tam gdzie ogroenny Krag Mocy zwany jest mieszkaniem Tirawy. Teraz, kiedy otrzymała *tawitshpa* – upoważnienie do uczestniczenia w ceremonii *Hako* – zstępuje na ziemię czterema ścieżkami.

Przygotowania do tajemniczej podróży

Matka Kukurydza prowadzi ducha ludzi w poszukiwaniu Syna. Duchy zbliżają się do wioski, gdzie mieszka Syn, ale cho-

ciaż stoją przed Synem, on ich nie widzi, bo śpi. Ludzie skupiają swe myśli na Matce Kukurydzy i na Synu, myśląc o darach, które mu przyniosą, kiedy przyjdą do niego z *Hako*. Myślą również o długim życiu, dzieciach i dostatku, czyli o darach, jakimi zostanie obdarowany Syn przez ptaki i zwierzęta, towarzyszące świętym przedmiotom ceremonii. Teraz duch Matki Kukurydzy dotyka Syna, jeśli ludzie będą żarliwi, on odpowie na jej dotyk, nie obudzi się i nie będzie jej widział, ale we śnie zobaczy jednego z ptaków, który towarzyszy *Hako* i będzie słyszał jego wołanie. Kiedy się obudzi, będzie pamiętał swój sen i będzie wiedział, że został wybrany na Syna.

Matko Kukurydzo, słuchaj nas!
Widzimy, gdzie mieszkają Dzieci
kiedy zbliżymy się do ich wioski!
Matko Kukurydzo, słuchaj nas!
Znajdziemy dom Syna
i przejdziemy przez drzewa.
On leży śpiąc, nie wiedząc,
że jesteśmy przed nim.
Matko Kukurydzo, słuchaj!
teraz na jej dotyk przybywa
do niego sen, a następnie
ptak, który woła: Mój Synu!
Kiedy jego duch śpi.
Matko Kukurydzo, słuchaj.

Wysyłanie Posłańców

Ojciec pośród swoich krewnych wybiera czterech posłańców, przybywają oni do domu Syna, który wówczas zwołuje swoją rodzinę. Jeśli po rozmowie z nią przyjmie ofiarowany przez posłańców tytoń, musi wówczas powiedzieć im, aby wrócili do Ojca i powiedzieli: Jestem gotów.

Wiadomość Ojca dla Posłańców

Chcę abyście przez naszą ziemię
ruszyli w podróż do Syna,
weźcie ze sobą moje słowa i dajcie mu je
Słuchaj, co mówię! Twój Ojciec
przybywa do ciebie w pośpiechu.

Święte przedmioty

Spójrz na nas jak unosimy
te święte przedmioty ku tobie.

Ludzie patrzą w kierunku północnym na księżyc, na noc, na Matkę dnia. Śpiewają i ofiarowują siebie wszystkim mocom Wschodu, Zachodu, Południa i Północy. Idą i wykonują na ziemi sylwetkę człowieka; jego stopy są ich stopami i będzie poruszał się, kiedy oni wykonają cztery kroki, niosąc święte przedmioty w obecności wszystkich Mocy. I tak zaczynają swą podróż do ziemi Syna.

Spójrzcie na dół, Moce Zachodu
spójrzcie na dół, na nas!
Wpatrujemy się w odległe miejsce,
gdzie mieszkacie.
Gromy i Błyskawice,
które przynoszą Życie;
które przynoszą śmierć,
spójrzcie na nas!
Spójrzcie na nas, Moce Południa
spójrzcie na dół, na nas!
Wpatrujemy się w odległe miejsce,
gdzie mieszkacie
w Świetle Dnia i Promieniu Słońca,
spójrzcie na nas!
Spójrzcie na nas, Moce Północy
spójrzcie na dół, na nas!
Wpatrujemy się w odległe miejsce
gdzie mieszkacie.
Ciemność, Światło Księżyca
spójrzcie na nas!

Matka Kukurydza nabiera Mocy

Matka prowadzi nas, a my Idziemy za nią.
Jej kręta ścieżka wie się przed nami.
Prowadzi nas tak jak nasi ojcowie
byli prowadzeni przez długie lata.

Przez *Hako* ludzie myślą o drodze, która podobnie jak kręta ścieżka, prowadzi do nich od ich przodków. Podróż, w którą udają się ma święty cel i ludzie prowadzeni są przez Moc Matki Kukurydzy. Wszystkim przedmiotom, które spotkają, muszą zaśpiewać pieśń, ponieważ Tira'wa jest wszędzie. Kiedy w końcu zobaczą wioskę Dzieci, śpiewają wówczas:

Przybyliśmy do tego miejsca,
przynosząc Synowi nasze dary
Teraz widzimy go gdy śpi.
Oto Syn, którego szukaliśmy.

Po przybyciu do wioski Dzieci i znalezieniu Syna, ludzie ubierają go w nowe ubrania, aby podkreślić opiekę, jaką Ojciec

roztacza nad swoimi dziećmi. Strój jest bardzo piękny i bogato wyszywany.

Wcześniej, kiedy Syn przyjął dar tytoniu i wysłał posłańców z powrotem do grupy *Hako*, wszedł ze swymi najbliższymi krewnymi do domu przeznaczonego na ceremonię. Tam oczekiwał na przybycie Ojców. Sledził sam po południowej stronie domu, w pobliżu drzwi. Jest to bardzo skromne miejsce i Syn wybrał je aby pokazać, że nie oczekuje zaszczytów.

Matko Kukurydzo z żywym oddechem,
teraz wchodzisz do domu Syna.
Matko Kukurydzo z żywym oddechem
teraz krążysz wokół domu.
Chodząc dookoła niego
Matka Kukurydza chodzi
z oddechem życia.

Kiedy dom jest już gotowy, podobnie jak gniazdo, w którym zaznaje się nowego życia i bezpieczeństwa, Ojciec dokonuje pierwszego aktu uznania i opieki. Nakłada nowe szaty na Syna i mówi, aby złożył Tira'wie dym w ofierze.

Zobacz kłęb dymu!
Unoszący się wysoko
za jego wielkim głosem.
Idzie chcąc osiągnąć miejsce
gdzie na bezkresnym cichym niebie
mieszkają Moce.
Zobacz kłęb dymu!

Teraz obwoływacze zwołują ludzi do domu. Przychodzą oni ubrani w swoje najlepsze stroje i niosą ze sobą podarki. Przynoszą również upiększone piórami cybuchy fajek. Są one podobne do orłów, a święte miejsce, gdzie są składane, reprezentuje gniazdo orla. Wykonane jest ono dla młodych, a czynności te wykonuje w domu Syna Kawa (Orzeł), spełniając tym obietnicę daną przez Ojców Synowi, czyniąc tym samym bliskie i dobre więzi, jakie łączą ojca i syna.

Kiedy słońce zachodzi i nastaje ciemność, a gwiazdy świecą na niebie, Dzieci zbierają się w domu. Kiedy już każdy siedzi, rozpala się ognisko, a kiedy płomień unosi się wysoko, wstaje Kura'hus. Wówczas jego asystenci oraz wódz także wstają i podnoszą *Hako* (święte przedmioty), pieśńiarze przynoszą bęben i podążają za tymi,

k którzy niosą *Hako*. Kiedy powoli okrążają dom, śpiewają:

Magiczne wizje! Przyjdźcie
pilnie was potrzebujemy
przyjdźcie do nas!
Przyńście ze sobą szczęście!
Przyjdźcie do nas
wielkie wizje!

Ludzie śpiewają o wizjach, zsyłanych Dzieciom przez ptaki na udekorowanych piórami cybuchach fajek. Wizje przybywają z nieba, wysłane przez Tira'wę. Ludzie otrzymują wielką pomoc poprzez wizję. Najczęściej przybywają w nocy, ponieważ jest to najlepszy czas na podróże Mocy. Ojcowie wołają o wizję i chcą aby przybyły one do ich Dzieci. Wizje słyszą wołanie Mocy ptaków z upierzonych cybuchów fajek i zaczynają zstępować do świata z miejsc, w których mieszkają na niebie, schodząc na dół w kierunku domu. Ludzie śpiewają:

Nadchodzą!

Dzieci przyłączają się do śpiewu, kiedy ludzie przekazują między sobą upierzone cybuchy fajek. Teraz wizje, towarzyszące *Hako* dotykają Dzieci w różne miejsca i przez dotyk dają im sny, przynoszące zdrowie, siłę, szczęście i wszystko, co dobre. Kiedy ludzie śpiewają, wizje odchodzą, ponieważ uczynili już to, po co przyszły. Teraz opuszczają dom, a wkrótce przetrzeń, która będzie pusta. Ludzie przerywają swoją pieśń i myślą o wizjach odchodzących nad cichą ziemią, wstępujących do miejsc, w których mieszkają.

Magiczne wizje!
Wstępują na niebo
tam gdzie mieszkają i tam
gdzie pozostaną nad nami.

Kiedy noc dobiega końca Kura'hus każe pomocnikowi podnieść skórę na drzwiach domu i wyjść na zewnątrz, żeby wypatrywać pierwszych promieni słońca. Kiedy nastaje świt, pomocnik wraca i ogłasza nowy dzień, a ludzie wstają i biorą przybory *Hako*. Wówczas stają na zachodniej stronie świątyni za świętym miejscem w domu i tam, patrząc w kierunku wschodu śpiewają:

Obudź się matko ze swej drzemki!
Na wschodzie, gdzie zaczyna się
każde nowe życie
nadszedł świt.

Matka Ziemia słyszy tę pieśń. Porusza się. Budzi się. Powstaje. Liście i trawa są podniecone. Wszystkie rzeczy poruszają się z oddechem nowego dnia. Życie wokół jest odnowione. Jest to bardzo tajemniczy moment. Ludzie śpiewają szeptem, ponieważ śpiewają o czymś bardzo świętym, nawet jeśli odbywa się to każdego dnia.

Matka budzi się ze snu;
Powstała ponieważ noc się skończyła
i nadszedł świt na wschodzie
skąd nadchodzi nowe życie.
Ludzie krzyczą:
Poranek nadszedł!
Oto mamy dzień!

Światło okrywa dzień. Kiedy ludzie patrzą przez drzwi domu, widzą drzewa i wszystkie inne rzeczy na świecie, które w nowym świetle są bardzo wyraźne.

Pieśń do słońca

Na drugi dzień ceremonii *Hako* ludzie wspominają swego ojca Słońce.

Spójrz teraz,
promień naszego ojca, Słońce,
przyszedł do nas.
Przychodzi na całą naszą Ziemię
wchodząc do naszego domu,
aby dotknąć nas i dać nam siłę.
Czy był to sen, w którym Ojciec
wyraźnie zobaczył *Hako*,
z którego teraz uczyniłem ciebie,
mój Synu?
Czy był to sen, w którym
uczyli mnie jak pocać ciebie,
mój potomku?
Teraz to wiemy na pewno:
sny nadchodzą do nas,
kiedy otacza nas moc.
Prawda jest, że on je zobaczył;
w wizji zobaczył *Katasha*,
tam gdzie żyją.

Łączenie się ptaków w stada

Na wiosnę ptaki składają jaja, a latem wychowują młode. Jesienią, kiedy wszystkie ptaki urosły, gniazda są opustoszałe.

Wysoko nad ziemią ptaki łączą się w stada. W pieśni śpiewanej na koniec ceremonii, ludzie myślą o obietnicy *Hako*, że zostaną obdarowani dziećmi, tak by ich „stada” były silne i wielkie.

Ludzie zbierają się razem, tak jak ptaki łączą się w stada, krążąc i przylatując z wielu kierunków. Ich skrzydła czynią wiele hałasu, kiedy lecą. Kiedy zbierają się razem na niebie, kierując się do domu, w którym czeka Syn, przynosząc dary i krzycząc radośnie: Słuchajcie! Krzycząc jak wielki orzeł, ze szczęściem w swoich sercach, jak ptak, gdy ujrzy swoje gniazdo.

Dziecko wybrane do ceremonii jest małym synem lub córką wioski, która przyjmowała grupę *Hako*. Na tym dziecieniu ludzie kładą znaki obietnicy przyniesione przez Matkę Kukurydzy i Kawas – obietnic dzieci, wzrostu i długiego życia, dostatku i pokoju.

Z nadejściem dnia szukam dziecka, szukam go pomiędzy Dziećmi tego jednego uczynionego przez Moce. Mego potomka, mego własnego dziecka.

Kaczan kukurydzy reprezentuje *h'Ura-ru*, Matkę Ziemię, która przynosi dostatek, a błękitną farbą, którą pomalowano kaczan, także reprezentuje moc, przynoszącą dostatek. Ludzie kierują pomalowany kaczan w kierunku dziecka, tak by Moce z dołu i z góry mogły podejść bliżej.

Teraz patrzymy na dziecko, które jest tutaj; To jest Syn, którego szukaliśmy; Przyniósł nam pozdrowienia od Syna: Ojciec podejź do mnie Oto siedzę czekając na Ciebie tutaj.

Kiedy ludzie śpiewają, Kura'hus dotyka czoła dziecka kaczaniem kukurydzy. Duch Matki Kukurydzy z mocą Matki Ziemi dotyka dziecka, dotyk ten oznacza obietnicę płodności dziecka i wszystkich ludzi.

Dziecko otoczone przez wielkie siły stwarzania zachęcane jest przez ludzi aby

się poruszało, aby wstało i szło powoli, kiedy rozpoczyna się pieśń. Cztery kroki, które robi dziecko, reprezentuje rozwój jego życia.

Jestem gotów;
przyjźdź teraz do mnie
nie bojąc się niczego;
przyjźdź tutaj do mnie, teraz.
Dziecko kroczy naprzód,
robi cztery kroki
i wkracza w nowe życie.

Świeża woda nabrana ze strumienia, wlewana jest do naczynia. Wodę zaczerpnęto poprzedniej nocy, ponieważ noc jest matką dnia. Płynąca woda oznacza ciągłość życia. Jedno pokolenie następuje po drugim. Naczą, w którym znajduje się woda, podobne jest do sklepienia nieba, miejsca Mocy, które dają życie. Głowa, twarz i zarys sylwetki dziecka, skraplane są wodą i dzięki temu staje się ono wyraźnie widoczne. Pierwsze namaszczenie wodą ma na celu oczyszczenie i nadanie siły.

Spójrz, moje dziecko,
teraz woda przyniosła tobie dar mocy.

Ludzie myślą o Tira'wie jak o Wszechmogącej Mocy, a nie o osobie. Myślą o nim, jak o czymś, co jest wszystkim i znajduje się wszędzie. Jak o rytmie i sile, która stworzyła i zesłała wszystkie rzeczy potrzebne do urządzenia świata. Nikt nie wie, do czego Tira'wa jest podobne, ponieważ nikt nigdy tam nie był.

Kiedy ludzie śpiewają, stary mężczyzna rysuje na twarzy dziecka takie same linie jak czynił to wodą, śpiewając:

Spójrz, moje dziecko. Spójrz!
Święte namaszczenie jest
teraz na twojej twarzy.

Trawa służąca do robienia pędzli, którym nakłada się farbę zbierana jest podczas ceremonii należącej do relikwiarza deszczu. reprezentuje ona *Toharu*, czyli życie pokrywające Matkę Ziemię. Ta siła reprezentowana przez pędzel z trawy, teraz stoi przed dzieckiem. Podczas gdy ludzie śpiewają starzec dotyka pędzlem czoła dziecka. Moc *Toharu* jest przekazywana dziecku. Dotyka go i daje mu moc, która przychodzi z pożywienia.

Spójrz, moje dziecko. Spójrz!
Teraz trawa czeka, aby
przynieść tobie dar pożywienia.

Następnie dziecko malowane jest pigmentem, który reprezentuje czerwone demony światła, nadchodzący nowy dzień, wschodzące słońce i energię życia. Siła nowego dnia stoi teraz przed dzieckiem. Kiedy ludzie śpiewają, starzec dotyka czoła dziecka czerwoną farbą. Energia życia dotyka dziecka.

Spójrz, moje dziecko. Spójrz!
Czerwona farba czeka, aby
przynieść tobie energię życia.

Następnie nakładany jest puch orla, reprezentujący wysokie, jasne chmury na błękitnym niebie, które znajdują się blisko miejsca Tira'wy. Puch reprezentuje również oddech życia białego orla, ojca dziecka. Kiedy ludzie śpiewają, starzec otwiera swoją dłoń i pozwala puchowi opaść na włosy dziecka. Delikatne białe chmury w pobliżu miejsca Tira'wy schodzą na dół i przykrywają głowę dziecka:

Spójrz, moje dziecko. Spójrz!
puch orla czeka
ze znakiem chmur.

Kiedy ludzie śpiewają, starzec przywiązuje puchowe pióro do włosów dziecka. Tira'wa jest teraz z dzieckiem, w postaci pióra powiewającego nad jego głową.

Spójrz, moje dziecko. Spójrz!
To jest znak, który zsyła Ojciec.

Teraz ludzie śpiewają, że wszystko zostało spełnione. Dziecko jest odpowiednio przygotowane. Umieszczone nad nim symbole Mocy z góry zeszyły na dół, a Tira'wa oddycha teraz nad dzieckiem, któremu powiedziano aby spojrzało do naczynia z wodą i ujrzalo swoją twarz. Dziecko spogląda w wodę i widzi swoją podobiznę w swoich dzieciach i wnukach. Teraz Tira'wa również tam jest, składając obietnicę, że życie dziecka będzie toczyło się dalej, tak jak woda płynie nieustannie poprzez ziemię.

Przygotowanie gniazda

Święty człowiek rysuje dużym palcem u nogi koło reprezentujące gniazdo, ponie-

waż orły budują swe gniazda za pomocą pazurów. Ludzie myślą o Tira'wie tworzącym świat, dlatego też koło reprezentuje nie tylko gniazdo, ale również Krag Tira'wy, który został utworzony jako miejsce do życia dla ludzi. Koło to także węż pokrewieństwa klanów i plemion. Dziecko reprezentuje młode pokolenie i ciągłość życia. Kiedy dziecko wchodzi do koła, przypomina to składanie jaj przez ptaki.

Dziecko odpoczywa w gnieździe, oczekuje na dar zesłany przez Moce schodzące do niego, dające obietnicę życia.

Podziękowania

Tira'wie ofiarowuje się słodki dym, a następnie zaciera się wszystkie ślady po gnieździe. Wówczas raz jeszcze otwiera się dom dla wszystkich ludzi. Zwołuje się dzieci, konie podarowuje się Ojcom, prowadzone przez Dzieci, tak aby najważniejsze Dziecko ceremonii mogło je zobaczyć. Powstaje teraz więź pomiędzy dwiema ceremonialnymi grupami Ojców i Synów. Następnie Kura'hus wstaje i modli się całą swoją duszą, aby Tira'wa pozwolił synowi rosnąć i stawać się silnym oraz znaleźć energię swojego życia. Jest to bardzo uroczysty akt ponieważ ludzie wiedzą, że chociaż Tira'wa nie jest widoczny, zsyła im swój oddech, kiedy jest wzywany. Kura'hus śpiewając swoją pieśń, nie może powstrzymać łez, ponieważ wpatruje się w Syna i modli się za niego w głębi serca. To, co mówi podczas pieśni, ukryte jest w jej znaczeniu, ale oznacza to, że ceremonia jest modlitwą, która ma na celu sprowadzenie na dół oddech Tira'wy, aby dał Synowi długie życie i moc oraz nauczył go, że należy do Tira'wy, że jest dzieckiem Tira'wy, a nie swego ojca na ziemi.

Tchnij w niego!
Tchnij w niego!
Życie, które możesz jemu dać,
długie życie.
Modlimy się, nasz ojciec
daj temu dziecku życie
daj temu dziecku życie
którym my możemy żyć.

Opracował
Sasza L. Cyrulowski

Czy Peltier jest mordercą?

– Amerykański senator staje w obronie Indianina skazanego za współudział w morderstwie dwóch stróżów prawa. Powołuje się przy tym na wyrządzone Indianom krzywdy, na pozytywne przemiany w stosunkach władz z tubylczymi Amerykanami i moralne zobowiązania prezydenta i narodu wobec Indian.

– Montrealski dziennik cytuje – i to w okresie najbardziej dramatycznych od lat protestów Indian Kanady – opinie stawiające tego samego Indianina „na równi z Siedzącym Bykiem i Geronimo”. Przy wszystkich wątpliwościach – nazywa go postacią historyczną, symboliczną i bojownikiem o wolność współczesnych Indian.

O jednym i drugim dowiadujemy się z poprzedniego „Tawacina”. A tuż obok jeden z jego współtwórców i wydawca rozpoczyna swój komentarz dość zaskakującym dla mnie wyznaniem, iż brakowało mu oświadczenia, że *Leonard Peltier jest mordercą*. Autorem takiego oświadczenia miał być – zdaniem „The Gazette” – wydawca i redaktor indiańskiego tygodnika „Indian Country Today” (ICT), Tim Głago.

Zdziwiony, zadałem sobie trud przegłębienia „Indian Country Today” z ostatnich paru lat. Nie miałam dostępu do wszystkich jego numerów, ale to, co po przejrzeniu ponad 20 z nich udało mi się na temat Peltiera znaleźć, nie daje moim zdaniem podstaw do opinii z poprzedniego „Tawacina” i nie pozwala mi ich przemilczeć.

Jest faktem, że 26.10.1994 na łamach „Indian Country Today” ukazał się tekst pt. „Szanowny Panie Prezydencie: Leonard Peltier zamordował dwóch agentów FBI. Nie zasługuje na ułaskawienie.” Ale nie był to zwykły artykuł, ani tym bardziej opinia Tima Głago, lecz całostronicowe **płatne**

ogłoszenie Stowarzyszenia Agentów FBI! Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności, a odmówienie jego publikacji może grozić oskarżeniem o stosowanie cenzury.

O tym, że ogłoszenie to z pewnością nie oddaje poglądów redakcji „ICT” świadczy choćby tekst redakcyjny z 29.12.1993. „Czy rodziny agentów FBI wybaczą Leonardowi Peltierowi?”, opublikowany w związku z rozpatrywaniem przez Komisję ds. Zwolnień Warunkowych wniosku Peltiera o obniżenie kary podwójnego dożywocia. Tekst ten zawiera m.in. apel do wszystkich stron konfliktu o pojednanie i kończy się prośbą „ICT” o uwolnienie Peltiera (wniosek o warunkowe zwolnienie wkrótce odrzucano, możliwości „nieustannych apelacji” skończyły się już w 1993, a jedyną szansą Peltiera na wyjście na wolność jest obecnie ułaskawienie go przez prezydenta USA).

„ICT” odnosi się z całym szacunkiem zarówno do żalu rodzin i przyjaciół obu agentów (którzy uważają Peltiera za mordercę), jak i do akcji zbierania podpisów na rzecz prezydenckiego aktu łaski. „Million podpisów nie decyduje o winie lub niewinności Peltiera – czytamy w „ICT”. – Ale wskazuje być może, że opinia publiczna sądzi, iż spędził on już dość czasu w więzieniu i zasługuje na ułaskawienie.”

Zatem, czy Leonard Peltier jest mordercą? Można idealizować i usprawiedliwiać wydarzenia sprzed 20 lat w Oglala, ale faktem jest, że zginęli tam ludzie i że system sądów w USA niezmiennie uznaje, że oskarżonego o to człowieka traktował sprawiedliwie. Z punktu widzenia amerykańskiego prawa więc – Peltier winien jest „pomocy i współudziału w morderstwie”. Ale prawo tworzą i wyroki wydają ludzie,



a ci – bywają omylni i podatni na rozmaite wpływy (czego najlepszym przykładem jest niedawny proces O.J. Simpsona).

Związane z procesem wątpliwości – uznane wcześniej przez ławę przysięgłych prawo strzelających w 1975 roku w Pine Ridge Indian do samoobrony (Peltier powoływał się na nie, przyznając się do udziału w tragicznej strzelaninie, ale nie do zastrzelenia obydwu rannych agentów FBI z bliskiej odległości) oraz zachowanie samego Peltiera przed i po uwięzieniu – sprawiają, że trudno przypisać mu morderstwo z zimną krwią. „Zdeprawowanym bandytą i bezwzględnym mordercą” pozostaje tylko dla rozważonych rodzin i kolegów zabitych agentów. Z pewnością nie nazywa go tak ani Tim Głago, ani nikt, kto poznał bliżej Peltiera i jego sprawę. A biorąc to pod uwagę, chyba nie powinno się tak o nim pisać w „Piśmie Przyjaciół Indian”.

Co więcej, znany pisarz Peter Matthiessen opublikował przed paru laty wywiad z Indianinem, znanym tylko jako „X”, który przyznał się do zastrzelenia obu agentów („Tawacin” nr 16 z 1991), zaś – jak pisał m.in. „Akwasasne Notes” – nazwisko prawdziwego zabójcy jest w Pine Ridge „publiczną tajemnicą”. Także sam sąd wy-

To co mnie uwolni, to wola i modlitwy ludzi. Liczę na Was. Jestem wdzięczny, że moja sprawa i sytuacja uświadomiły wielu ludziom główne problemy, przed którymi stoją dzisiaj wszystkie Ludy Tubylcze. Wszyscy stoimy w obliczu kryzysu przetrwania. Z miłością, nadzieją, modlitwami oraz ogromną ilością ciężkiej pracy wszyscy możemy dokonać zmiany – i dokonamy jej. Jestem Wam wdzięczny, że stoimy razem w tej walce, która jest częścią ogólnej walki o pokój ze sprawiedliwością w tym kraju. Dziękuję Wam za całą pracę, którą – jak wiem – będziecie kontynuować. Jesteście moją inspiracją. Jesteście tym, co dodaje mi siły! Nic nie jest w stanie zmienić moich przekonań i wierzę, że pewnego dnia wszyscy będziemy mogli przełamać się chlebem.

Leonard Peltier

cofał się, już w trakcie procesu, z oskarżenia Peltiera o „morderstwo pierwszego stopnia”, zarzucając mu z kolei „pomoc i współudział”.

Obroncy Peltiera (w tym zmarły niedawno znany nowojorski adwokat praw człowieka, William Kunstler) dopatrują się w całym procesie licznych sądowych omyłek i pozasądowych nacisków. Nie byli jednak w stanie wyegzekwować poszanowania fundamentalnej zasady prawnej, iż wszelkie wątpliwości winny świadczyć na korzyść oskarżonego. Ostatnią możliwość rewizji procesu sąd odrzucił 7 lipca 1993 roku. Odtąd pozostała jedynie nadzieja na prezydencki akt łaski.

„Wybaczyć Peltierowi mogą tylko rodziny zamordowanych agentów. Nawet milion podpisów nie wystarczy – czytamy w komentarzu „ICT”. – Ale po 18 [a dziś – po 20] latach być może czas już odwrócić tę brzydką kartę w historii Ameryki. Być może czas już, by wszystkie strony zaangażowane w tę tragiczną sprawę wybaczyły sobie.”

Rzeczywiście, „zmienia się Indiańska Ameryka”, ale mniej w tych zmianach powodów do nostalgii i zgorzknienia, a więcej do nadziei i optymizmu. Tim Głago znany jest ze swej krytycznej postawy wobec daw-

nych protestów Ruchu Indian Amerykańskich (AIM), w tym okupacji Wounded Knee. Swoje stanowisko wyjaśniła w „ICT” z 14.10.1993: „Jako wydawca największej indiańskiej gazety w Ameryce, będę zawsze krytyczny wobec gwałtu i będę zawsze opowiadał się przeciwko tym, którzy używają gwałtu do osiągnięcia swego celu”.

Ale Glago pisze też: „AIM zmienił się, gdy jego kierownictwo dojrzało. I ja zmieniłem się z wiekiem. Od 1973 roku zmieniła się większość ludzi”. Naturalną tego konsekwencją jest następująca opinia „ICT” z 29.12.1993: „Pan Peltier jest wzorowym więźniem. Są szanse, że w razie ułaskawienia stałby się on także wzorowym obywatelem. Wierzmy, że człowiek obecnie więziony nie jest tym samym, który trafił za mury więzienia w Leavenworth i wierzymy, że nie stanowi zagrożenia dla społeczeństwa.”

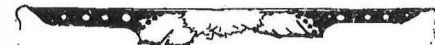
To samo przekonanie towarzyszyło dwudziestemu milionom ludzi apelujących o wolność i rehabilitację Leonarda, w tym wielu polskim miłośnikom Indian podpisującym petycje w jego sprawie. Szkoda, że niektórym z nich zabrakło wytrwałości i wiary w zwycięstwo, że pogodzili się z tym, że resztę swojego życia Peltier może spędzić w więzieniu. Szkoda, że swoją uwagę kierują oni często na wąskie indywidualne zainteresowania lub wyolbrzymiane – i nie mające bezpośredniego związku ze sprawą Peltiera – „rozgrywki wewnątrz AIM”, zamiast na wspólne – i ważne nie tylko dla Leonarda – pozytywne działania.

Nadziei Peltierowi i wszystkim przyjaciółom Indian winna dodawać coraz powszechniejsza zbłądność przychylnych dla niego i dla jego „sprawy” opinii i intencji. „Już najwyższy czas by uwolnić Leonarda Peltiera i rozpocząć uzdrawianie” – zakończył swoje wystąpienie senator Adams, cytując sędziego Heaney’a. W zakończeniu poświęconego Peltierowi komentarza indiańskiego tygodnika czytamy zaś: „My, w „Indian Country Today”, prosimy o objęcie go aktem łaski. Nadszedł czas na zaprowadzenie pokoju między Indianami i białymi”. Howgh?

Leonard Peltier mógłby być mną, tobą – każdym, kto występuje w obronie swojej rodziny i przyjaciół, swoich przekonań i Matki Ziemi. Współwinny śmierci dwóch ludzi, czy nie – Leonard nie jest „mordercą”. Nazywanie go tak oznacza z wątpliwością w jego niewinność oraz podważa sens i moralne prawo do starań o jego uwolnienie. A stąd już niebezpiecznie blisko do podważenia sensu walki o te wszystkie prawa, idee i wartości, które od 20 lat tak wielu ludzi w tak wielu krajach utożsamia ze „sprawą Leonarda Peltiera”.

I jeszcze jedno – nieprawdą jest, że skończyła się „epoka spektakularnych demonstracji” północnoamerykańskich Indian (chyba, że za „spektakularne” uznamy jedynie trafiające na pierwsze strony europejskich gazet zamachy bombowe lub wykolejane przez terrorystów w USA pociągi). Ostatnie miesiące przyniosły szczególnie wiele dramatycznych akcji protestacyjnych Indian, zwłaszcza w Kanadzie. W Kraju Indian mówi się o nich i pisze nie mniej, niż o słynnych protestach w Wounded Knee, czy Oka. Ale szerzej o tym napiszę już w następnym „Tawacinie”. □

Marek NowoCIEŃ



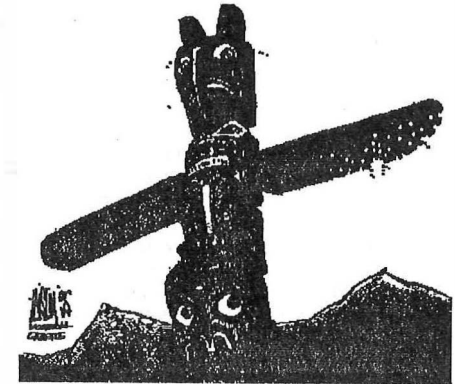
Gwiazda Leonarda Peltiera

Międzynarodowe Biuro Rejestracji Gwiazd w Szwajcarii zatwierdziło nadanie nowej gwiazdki imienia Leonarda Peltiera. Gwiazda ta znajduje się koło Arcturus w konstelacji „Bootes, the Bear Driver”. Jej pozycja na niebie to RA 134 41 m 54.28 SD 13d 48°12.672. Wielkość gwiazdy – MV 11.4, zaś numer: 1 899 636. Pełna nazwa gwiazdy brzmi: Leonard Peltier, wojownik Ojibwa.

„Native American News” z 2 września 1995, nadesłał Michael T. Benwell. Oprac. MC.

Kolumbia Brytyjska

Grupa tubylców określająca się mianem Obrońców Narodu Szuswap (Shuswap) od ponad roku nie chciała opuścić terenu nad jeziorą Gustafsen w Kolumbii Brytyjskiej (około 300 km na północ od Vancouver), będącego prywatną własnością Lyle Jamesa, który od kilku lat pozwala Indianom odprawiać tam obrzęd Tańca Słońca. 22 sierpnia 1995 roku zablokowali oni drogę dojazdową, twierdząc że jest to ich święta ziemia. Grupa licząca kilkunastu członków i mieszkająca w małym domku i kilku namiotach rozbitych na polanie wśród drzew, nie uzyskała jednak poparcia lokalnych grup tubylczych. Kiedy policjanci RCMP otoczyli obóz wzywając jego mieszkańców do poddania się, Indianie odmówili. Roli mediatora podjął się Ovide Mercredi, ogólnonarodowy przewodniczący Zgromadzenia Pierwszych Narodów (AFN). Demonstracja ta, trwająca do końca sierpnia, dowiodła braku dobrej woli w rozwiązywaniu konfliktów z tubylcami kanadyjskimi. Policja, podejrzewając mieszkańców o posiadanie broni zorganizowała prowokacyjny atak. Doszło wtedy do strzelaniny, w której dwóch policjantów miało zostać trafionych i tylko kamizelki ochronne uratowały im życie. W prasie rozpoczęła się nagonka na Indian, którzy mieli wciągnąć policjantów w zasadzkę i obsypać ich gradem kul. W tym czasie dziennikarzy nie dopuszczano w bezpośrednią styczność z obozem. Ponadto Indianie nie mieli możliwości przekazania własnej wersji wydarzeń, gdyż zerwano z nimi wszelką łączność. Impas przełamał dopiero przyjazd adwokata grupy, Bruce’a Clarka, który przekonał Indian do kontynuacji działań, ale już na sali sądowej. Twierdził, że choć ziemia ta jest obecnie prywatną własnością, Indianie Kolumbii Brytyjskiej nigdy się jej nie rzekli. Zatem Królewska Kanadyjska Policja Konna (RCMP) nie ma nad nimi jurysdykcji. 30 sierpnia właściciel ziemi zawarł umowę z lokalną grupą Indian Canoe Creek, zgadzając się na wykorzystanie jego ziemi w celach obrzędowych. Agnes Snow, przywódczyni Indian Canoe Creek zaapelowała do mieszkańców obozu o złożenie broni



i wyjście w pokój. Dodała też, że Indianie będą dyskutować o przyszłości tego obszaru poprzez wniesienie sprawy do sądu.

– Choć nie jesteśmy pewni powodzenia tych negocjacji – powiedziała – to jesteśmy gotowi dać im szansę.

Odrzuciła też twierdzenia rebeliantów, że działają oni na rzecz Indian Szuswap.

James powiedział, że nigdy nie miał problemów z członkami grupy Canoe Creek, ani też uczestnikami Tańca Słońca. – Najbardziej martwi nas gwałty i groźby, które wcale nie są charakterystyczne dla tancerzy Tańca Słońca – dodał.

Powrót Tańca Słońca

Nazwano ich rebeliantami, terrorystami, fanatykami, bandytami, kryminalistami i beznadziejnymi paranoikami. Każde z tych określeń ma swój własny, szczególny bagaż. Żadne z nich jednak nie pomaga nam zrozumieć motywów postępowania zbrojnej i gniewnej enklawy, która tak uparcie odmawia opuszczenia ziemi w okolicach Gustafsen Lake w Kolumbii Brytyjskiej.

Po raz pierwszy zaczęto tam organizować Taniec Słońca – bardzo silny rytuał religijny połączony z cierpieniem, ofiarą i poświęceniem, ofiarowanym dla dobra wszystkich ludzi. Dotąd był to obrzęd nieznany na tym obszarze.

Cztery lata temu poproszono właściciela ziemi o zgodę na odprawianie Tańca Słońca. Od ponad roku pewne osoby nie chcą opuścić tego terenu, nagle oświadczaając, że jest to święta ziemia.

– Zawsze byliśmy pełni pychy – powiedział Michael Ash, antropolog z Uniwersytetu Alberta – która jest naszym usprawiedliwieniem i na nic zdają się wołania jakiegokolwiek Indianina. Zamiast pytać „Jak usprawiedliwić te indiańskie roszczenia wobec państwa kanadyjskiego?” spróbujmy zapytać „Jak usprawiedliwić państwo kanadyjskie wobec tych roszczeń?”

Zamiast tego wyśmiewa się niedostatecznie poznana filozofia okupantów, ich światopogląd i ideologię, nazywając to apokalipsą, irracjonalizmem itp. Kiedy samozwańczy obrońcy Narodu Szuswap zostali zagrożeni wysiedleniem, napęta konfrontacja przerodziła się w gwałt. Doprowadzone do szalu władze odpowiedziały zgodnie ze stereotypem.

W tym roku przypada setna rocznica męczeństwa Mocnego Głosu (Almighty Voice). Ten Indianin Swampy Kri zastrzelił błąkającą się krowę – jej właściciel nigdy nie został zidentyfikowany – która miała być przeznaczona na jego własne przyjęcie weselne.

Zamiast w przyjęciu, wziął udział w gigantycznym przedstawieniu razem z policją konną, która sprowadziła artylerię, żeby go zabić. Zanim do tego doszło, zginęło sześć innych osób, a trzy odniosły rany w wyniku gorączkowej demonstracji władzy.

Ostatnią rzeczą, jaka jest nam potrzebna w świetle incydentów, podobnych temu z Gustafsen Lake – jest męczennik. Jeśli niml zostaną tancerze Tańca Słońca, to – obojętnie o co się ich oskarży – mogą się stać dobrym gruntem dla nieformalnego podziemia.

Kiedy opisywałem incydent w Gustafsen Lake na Uniwersytecie Kalifornijskim, antropolog Joseph Jorgensen, który prowadził od lat badania nad Tańcem Słońca i jego ewolucją, nie był niczym zaskoczony. Powiedział, że nowa duchowość rozprzestrzenia się po Ameryce Północnej, wywołując poważne incydenty, na przykład strzelaninę między agentami FBI a radykalnym Ruchem Indian Amerykańskich (AIM) w Pine Ridge w 1975 roku.

Miejsmy też na uwadze fakt, że ilość samochodów wśród młodzieży w niektórych rezerwach jest 15 razy większa od średniej krajowej. Bezrobocie sięga 80%. Przeciętna długość życia jest o 30% mniejsza. Co mają do stracenia ci młodzi ludzie, podejmując wysiłki odkupienia swego honoru?

To co widzimy jest próbą wydarzeń, sięgających głęboko w podziemie kultury, rozwijającej się poza kulturą dominującą. Tradycja tajemnicy społecznej przenika kulturę tubylczych mieszkańców.

Może się to uwidaczniać wśród młodych ludzi cierpiących z powodu brutalizującego nurtu samouwielbienia, wyznawanego przez dominujące społeczeństwo.

Może się to wiązać z potężną siłą religii duchowego odnowienia. Jorgensen wskazuje tu na ofiarę w celu uwolnienia się od osobistych problemów. To coś znaczy. Zgodnie z danymi demograficznymi, procentowa ilość dorosłej młodzieży w tubylczych wspólnotach jest dużo większa niż w społeczeństwie dominującym.

Jeżeli nie zdołamy znaleźć politycznej woli do zadośćuczynienia wielu nie odkupionym krzywdom tubylczego społeczeństwa, jeśli odeślemy ich umiarkowanych przywódców do wspólnot z pustyni reżima – to możemy się spodziewać, że coraz więcej młodych ludzi przyłączy się do Tańca Słońca lub Tańca Ducha, czy też do jakiegokolwiek innej walczącej, nowej ewangelii.

– To dotyczy nas wszystkich – powiedział Michael Ash. – Jeśli nie wykorzystamy tej szansy, wszyscy będziemy tego gorzko żałować.

Wielu myśli, że niepokój w Gustafsen Lake jest anomalią, ale tak nie jest. Wszyscy jesteśmy zobowiązani do odrzucenia gwałtu, ale mamy także obowiązek zrozumienia tego, czego jesteśmy świadkami.

Odwolywanie się do pustych sloganów o cnocie i wartościach demokracji nie służy nikomu.

Jak dotąd, demokracja wykonała brudną robotę względem całkowicie słusznych roszczeń tubylczych Amerykanów, których nie wysłuchano już wtedy, gdy umierali tancerze nad Wounded Knee, gdy zastrzelono Mocnego Głosu.

I nadal pozostają one nie wysłuchane.

Stephen Hume

„The Gazette” (Montreal), 2 września 1995

Wojny rybackie

Pod koniec sierpnia poseł John Cummins z Vancouver zaczął demonstracyjnie łowić ryby na rzece Frazer w Kolumbii Brytyjskiej. Cummins zaprotestował przeciwko prawu wyłączności dla Indian na komercyjne połowy łososia w rzece. Powiedział, że domaga się zaprzestania segregacji Indian i nie-Indian podczas przyznawania prawa do połowu. Twierdził, że sądy udzielając koncesji Indianom, nie dają takich samych praw białym rybakom. Strategia rządu federalnego, stosowana od trzech lat, która dała Indianom szansę zwiększonych połowów łososia w celach handlowych, zdecydowanie nie podoba się nie-indiańskim rybakom.

3 września 1995 roku w zatoce Owen Sound w Ontario podpalono łódź rybacką należącą do Indianina Saugeen Ojibwa. Nie-indiańscy rybacy dążą do odzyskania prawa połowu ryb z użyciem specjalnych sieci, jakie mieli do 1993 roku, kiedy to sąd wydał orzeczenie zezwalające na ich używanie wyłącznie Indianom Saugeen Ojibwa.

Prawo do cmentarza

4 września 1995 grupa kilkudziesięciu Indian zajęła prowincjonalny park Ipperwash, niedaleko miasta Sarina w Ontario, twierdząc że jest to święte miejsce pochówku Indian Pottawatomi i Ojibwa. Ewakuowano kilkunastu turystów, a policja zwróciła się do sądu po nakaz aresztu dla okupantów. 6 września doszło do wymiany ognia, w wyniku której zginęło dwóch Indian, a trzeciego – w stanie krytycznym – odwieziono do szpitala. Mimo śmiertelnych ofiar, tubylcy nie opuścili parku. Nazajutrz po strzelaninie dołączyło do nich dwustu Indian z pobliskiego rezerwatu Kettle Point.

W 1942 roku rząd kanadyjski „pożyczył” ten obszar, zwany rezerwatem Stoney Point, i założył tam wojskową bazę treningową. Mieszkańców nakłoniono do przeniesienia się do rezerwatu Kettle Point. Po zakończeniu II wojny światowej ziemi jednak nie zwrócono. Prowincjonalny park Ipperwash do 1942 roku był cmentarzem dla mieszkańców Stoney Point.

27 konferencja AIM

27 lat temu, 29 lipca 1968 roku mężczyźni, kobiety i dzieci przybyli do Minneapolis, aby zapoczątkować ruch chroniący tubylczą ludność i aby zabezpieczyć miejsce dla naszego słodkiego pokolenia. Zmagania tych mężczyzn i kobiet z brutalnością i niesprawiedliwością policji, sądów i więzień, realizowanie tradycyjnej drogi i przeprowadzanie zasadniczych zmian – potrzebne było do dokonania zmian w nas samych.

Nazwaliśmy się Ruchem Indian Amerykańskich (American Indian Movement – AIM). W ciągu minionego ćwierćwiecza przeprowadzono wiele zmian, o które walczyli AIM:

– Stworzyliśmy własne szkoły i rozbudowaliśmy własny system studiów. Szkoły te wciąż działają.

– Ustalliliśmy własną politykę wobec nadużywania alkoholu i narkotyków; pomogliśmy wielu indiańskim ludziom na ich drodze do abstynencji.

– Stworzyliśmy jedno z najbardziej efektywnych praw dotyczących młodzieży niepełnoletniej i kobiet.

– Zarówno w sądach federalnych, jak i stanowych podnieśliśmy kwestie traktatowe; wygraliśmy główne sprawy dotyczące myślistwa, połowu ryb, traperstwa i zbiorów dzikiego ryżu.

– Dzięki naszemu Ośrodkowi Przemysłu Zawodowego AIM wielu tubylców podjęło naukę i wkroczyło w świat pracy bardziej efektywnie niż po ukończeniu jakiegokolwiek innego programu federalnego.

To było i jest wielkim początkiem.

W przyszłym tygodniu [1-4 września 1995 – przyp. Red.] w parku stanowym Fort Snelling niektórzy z tych ludzi spotkają się ponownie, na 27 dorocznej konferencji, pow-wow i koncercie. Hasło przewodnie będzie takie same, jak przed 27 laty: „W trosce o tubylczą ludność i nasze drogi.”

Ruch Indian Amerykańskich (AIM)

Biurowy Dyrektora Krajowego

Dennis Banks

Na podstawie wycinków prasowych (z „The Eastern Door”, „The Gazette”, „Native American news”) nadesłanych przez Michaela T. Benwella (Thanks Mike), serwis informacyjny opracował Marek Cichomski i MM.

Bieg Wolności '96

dla Leonarda Peltiera i ludów tubylczych

informacja wstępna

1. Idea i charakter Biegu

- Bieg jest tradycyjną formą przenoszenia wiadomości przez ludy tubylcze. Bieg jest dla nich świętością, a pałeczka z piórami orla chroni biegaczy i przypomina o ich misji. Bieg jest też formą modlitwy i oddawania Matce Ziemi otrzymywanej od niej energii.
- Bieg Wolności zaproponowany został jesienią 1994 roku przez indiańskich członków Komitetu Obrony Leonarda Peltiera (LPDC).
- Bieg zwraca uwagę na sprawę Leonarda Peltiera i problemy ludów tubylczych oraz przedstawia polityczne żądania ludów tubylczych europejskim politykom, środkom przekazu i społeczeństwu.
- Bieg jest jedną z akcji trwającej Dekady Ludów Tubylczych ONZ.
- Podczas Biegu tubylczy delegaci będą spotykać się z władzami miejskimi i lokalnymi w miejscach odwiedzanych przez Bieg.
- Podczas Biegu zbierane będą podpisy i deklaracje poparcia w celu przedstawienia ich po zakończeniu Biegu przewodniczącemu Grupy Roboczej do Spraw Ludności Tubylczej w siedzibie ONZ w Genewie.
- Trasa głównego Biegu: Paryż (gdzie podpisano pierwszą Deklarację Praw Człowieka) – Bonn (Parlament Niemiec) – Frankfurt – Stuttgart – Strasburg (Parlament Europy) – Zurich – Lozanna – Genewa (ONZ).
- Różne grupy planują Biegi lokalne, np. z Bretanii do Paryża, z Włoch do Genewy,

z Polski przez Słowację, Austrię i Czechy do Niemiec – aż do spotkania z głównym Biegiem w Stuttgarcie.

- Bieg trwa od połowy czerwca do początku lipca 1996 roku.
- Bieg jest otwarty dla wszystkich, zgadzających się z jego celem.
- Przy organizacji Biegu współpracują następujące organizacje: LPDC – USA (Bob Castillo), LPDC – Kanada (Frank Dreaver), ELAP (Europejski Sojusz Grup Poparcia Leonarda Peltiera – Robert Glattau) – Austria, INCOMINDIOS – Szwajcaria, ASNA – Szwajcaria, Nitasinan/CSIA – Francja, Tribal Act – Francja, AISIA – Francja, INCA – Francja, LPSG – Austria, KOLA-LPSG – Belgia, LPSG – Włochy, LPSG – Holandia, LPSG – Niemcy, GfBV (Berlin, Stuttgart, Hamburg) – Niemcy, Working Circle Indians Today – Niemcy, PSPI – Polska.

2. Struktura organizacyjna

- Międzynarodowa koordynacja na Europę: Nitasinan/CSIA – Francja, na Amerykę: LPDC (Bob Castillo i Frank Dreaver).
- Krajowi koordynatorzy na każdy kraj w sprawach organizacyjnych, finansowych oraz w sprawach kontaktów z mediami i politykami.
- Lokalni koordynatorzy w sprawach zakwaterowania, wyżywienia, transportu i kontaktów lokalnych z mediami i politykami.
- Ludzie, którzy przyłączą się do Biegu jako biegacze, kierownicy, tłumacze, itp.

3. Trasa Biegu Wolności

Koordinatorzy krajowi we współpracy z lokalnymi opracują najlepsze trasy pomiędzy miejscami, do których powinien dotrzeć Bieg. Miejsca te powinny być wybierane z punktu widzenia ich atrakcyjności dla Biegu, w szczególności – szans spotkania się z lokalnymi władzami, politykami, parlamentarzystami, mediami i społeczeństwem. Powinny stwarzać możliwość imprez z udziałem tubylczych delegatów. Do przyjęcia są też miejsca odpowiednie wyłącznie ze względu na przebieg trasy. Odległości między miejscami raczej nie większe, niż 150 km. Z uwagi na bezpieczeństwo wskazany wybór dróg podrzędnych, a nie głównych.

Proponowana trasa Biegu Wschodnioeuropejskiego: Polska południowa – Martin (Słowacja) – Nitra – Bratysława – Wiedeń (Austria) – Brno (Czechy) – Ceske Budejovice – Regensburg (Niemcy) – Stuttgart.

4. Zakwaterowanie i wyżywienie

Noclegi dla Biegaczy i osób wspierających: w szkołach, schroniskach turystycznych, salach gimnastycznych, na polach namiotowych, itp. Biegacze będą mieć własne śpiwory. Starsi delegaci tubylczy: mile widziane noclegi w domach prywatnych. Należy pamiętać o dostępie do pryszniców, toalet i – w razie potrzeby – pralni. Nie rozdzielać uczestników Biegu na różne noclegi. W miarę możliwości organizować posiłki blisko miejsca noclegu. Przewidzieć parkingi dla pojazdów.

W każdym miejscu noclegu lokalni organizatorzy powinni zadbać o kolację i śniadanie dla uczestników Biegu na zasadach samoobsługi. Należy przygotować owoce i wodę pitną do zabrania na dalszą trasę. Należy pamiętać o żywności na dni odpoczynku. Alkohol zakazany.

5. Zadania lokalnych koordynatorów

Opracowanie harmonogramu pobytu, np.: przybycie – powitanie przez władze – kolacja – impreza wieczorna – krąg poranny – pożegnanie.

- Przygotowanie map trasy z poprzedniego miejsca i dostarczenie ich koordynatorowi poprzedniego miejsca; w razie potrzeby – oznakowanie trasy i informowanie o zmianach.
- Informowanie o Biegu mediów i urzędników, organizowanie imprez przedbiegowych, imprez dla biegaczy i delegatów, umawianie spotkań.
- Wielokrotne informowanie lokalnej policji, np. w celu zapewnienia eskorty dla Biegaczy od granic miasta do punktu centralnego.
- Łączność z sąsiednimi koordynatorami i koordynatorem krajowym.
- Ustalenie lokalnego numeru telefonu do kontaktów ogólnych.
- Zebranie informacji o lokalnych placówkach ochrony zdrowia.
- Informowanie krajowych koordynatorów na bieżąco o przygotowaniach i korzystanie z ich pomocy.

6. Finanse

Koordinatorzy krajowi odpowiadają za budżet międzynarodowy Biegu. Koordynatorzy lokalni odpowiadają za finanse lokalne, organizując zbiórki, koncerty i imprezy lokalne, pozyskując lokalnych sponsorów (bez przemysłu) i fundacje do pomocy finansowej i materialnej.

Zainteresowanych pomocą w organizacji Biegu w Polsce południowej lub udziałem w Biegu na dowolnym jego odcinku prosimy o kontakt:

Bernd Damlsch
Mühlstr. 15,
08491 Netzschkau, Niemcy,
tel./fax: 0049-3765-34786

Marek Nowocień
Głowackiego 1B/18
57-200 Ząbkowice Śl.
tel. 072-154359

POLSKIE OPISANIE ŚWIATA

Pierwsze wieści, pierwsi Polacy w Nowym Świecie
(XVI–XVIII w.)

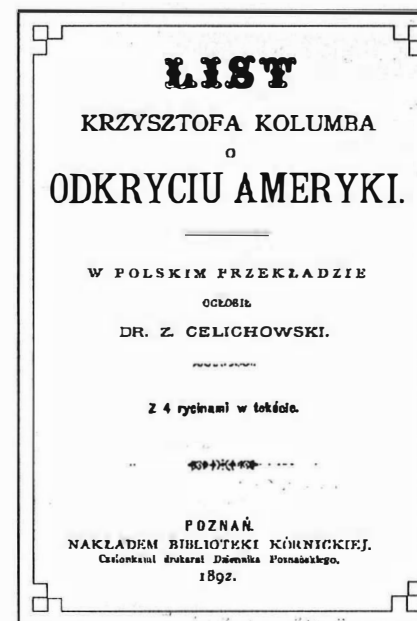
Dziewięć lat po odkryciu Ameryki przez Krzysztofa Kolumba, a więc w roku 1501, wykładowca Akademii Krakowskiej, Jan z Głogowa, jako pierwszy w Polsce, w swoim podręczniku do astronomii zamieścił krótką informację o nowo odkrytych lądach. Blżej o Nowym Świecie wzmiankował on w swoim komentarzu do dzieła Jana de Sacrobosto (1506). Innym źródłem, także pisany po łacinie, było pierwsze wydanie listu Kolumba *Epistola de Insulis Indiae super Inventis* (1493), którego zachowane egzemplarze znajdują się m.in. w Bibliotece Uniwersyteckiej we Wrocławiu i Bibliotece Seminarium Duchownego we Włocławku. Dopiero w 1892 roku, nakładem Biblioteki Kórnickiej ukazał się w Poznaniu pierwszy polski przekład *Listu Krzysztofa Kolumba o odkryciu Ameryki*. Dokonał tego Zygmunt Celichowski w oparciu o faksymile egzemplarza ze zbiorów kórnickich (jego reprint ukazał się w sto lat później).

Informacje o nowych odkryciach zawierały także mapy. Autorem pierwszej polskiej mapy przedstawiającej Nowy Świat jako samodzielny kontynent, rozciągający się z północy na południe, był Jan ze Stobnicy, profesor krakowskiej Akademii, późniejszy wykładowca Akademii Lubrańskiego w Poznaniu. Umieścił ją w swoim komentarzu do polskiej edycji dzieła Ptolemeusza (1512). Dwa zachowane egzemplarze znajdują się w zbiorach Biblioteki Narodowej w Wiedniu i w Bibliotece Johna Cartera Browna w Providence (USA). Faksymile

egzemplarza amerykańskiego są w posiadaniu Biblioteki Jagiellońskiej.

Te oraz inne źródła mają jednak charakter bardzo ogólnikowy i powstały w oparciu o druki wydane już wcześniej w krajach Europy Zachodniej. Wraz z globusami i różnymi mapami trafiały na ziemie polskie dzięki licznym kontaktom i podróżom polskich humanistów, dostojników kościelnych wysyłanych także z misjami dyplomatycznymi do Rzymu, Madrytu, Londynu i innych stolic państw dokonujących podboju nowych terytoriów zamorskich. Na szczególną uwagę zasługuje tu postać wybitnego polskiego humanisty, Jana Dantyszka, biskupa warmińskiego, sekretarza Zygmunta Starego. Ów dyplomata i poeta zarazem, po studiach w Krakowie, Francji i Niemczech, licznych podróżach po Starym Kontynencie i Bliskim Wschodzie, w latach 1524–1531 został pierwszym posłem Rzeczypospolitej w Hiszpanii na dworze cesarza Karola V. Tam żywo interesując się odkryciami Hiszpanów i Portugalczyków, nawiązał m.in. kontakt i przyjaźń z Hernando Cortesem. Ze zdobywcą Imperium Azteków, Dantyszek przez dłuższy czas utrzymywał korespondencję, czego dowodem są listy hiszpańskiego konkwistadora (1531, 1547), zachowane w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie i wrocławskim Ossolineum.

Autorem pierwszego pisanego po polsku dzieła, zawierającego bliższe, choć nieco naiwne i z błędami, informacje o Ameryce i jej mieszkańcach, jest Marcin Bielski.



Jego Kronika wszytkiego świata (1551), będąca także pierwszą i jedyną w całej literaturze staropolskiej historią powszechną, zawiera całą osobną księgę traktującą o „wyspach morskich, nowo znalezionych ... od Ameryka Wespucia, Hiszpana, lata pańskiego 1497, z rozkazu króla hiszpańskiego, kastylejskiego królestwa”. O samych zaś Indianach Bielski pisze, iż „nago chodzą, żywności mają dosyć... z bawelny czynią siatki, na których legają, przywiązawszy do czterech drzew, jako w kolebce. Złoża, kamienia dość, którego ni zacz nie mają, w ptasim pierzu chodzą przedniejsi jako w jednym złotogłowie urod krasnych.” Dzieło Bielskiego, powstałe w oparciu m.in. o kronikę S. Münstera (1544), było pierwszą księgą opisującą najnowsze odkrycia geograficzne, przetłumaczoną na język rosyjski (*Chronografja* 1584). O sporym zainteresowaniu Nowym Światem w Polsce szlacheckiej mogą świadczyć aż trzy pełne przekłady na język polski *Relazioni universali* Jana Botera, powstałych w końcu XVI wieku. Autor, włoski geograf zawarł w swoich *Relacjach powszechnych* (1609, 1613,

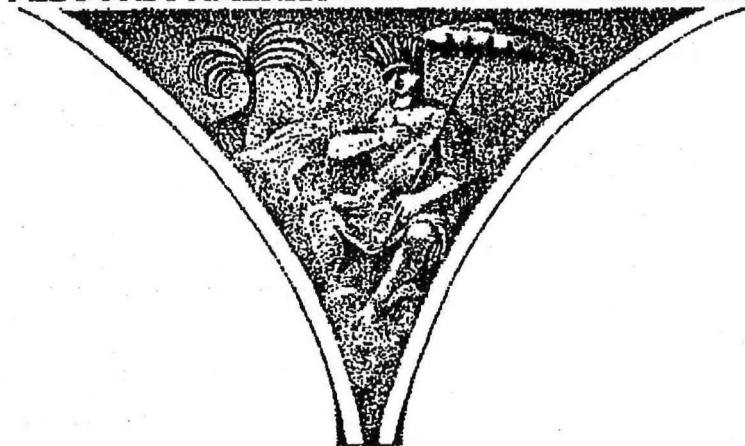
1659) nie tylko dane o Kolumbie czy Wespucim, ale również o ówczesnym podziale politycznym Ameryki, czy wreszcie o samych wierzeniach i obyczajach Indian.

Mimo iż Polska nie brała udziału w podbojach nowych ziem, sposób w jaki były one brane w posiadanie przez Hiszpanów czy Anglików, już wtedy zdawał się budzić sprzeciw. Autor liczący około dwóch tysięcy stron *Postylli* (1617), Krzysztof Krański, szeroko opisuje okrucieństwa wysłanników korony hiszpańskiej w Ameryce, którzy jego zdaniem wymordowali więcej ludzi niż Turcy w trakcie swych podbojów w Europie. Jako pierwszy z polskich autorów powołuje się na „Bartolomeusa Cassausa Hiszpana biskupa”, który „opisał dosyć straszne i okrutne ono nawracanie na wiarę papieską ludzi Nowego Świata przez Hiszpanów”.

Ten okres pierwszych wieści o mieszkańcach Indii Zachodnich, rozpowszechnianych w oparciu o wymienione źródła i opowieści misjonarzy, zamyka jedno z najobszerniejszych ówczesnych dzieł charakteryzujących kraj Ameryki, ich bogactwa naturalne, obyczaje i wierzenia tubylców, jakim były *Nowe Ateny* (1746). Jego autor, Benedykt Chmielowski zwraca m.in. uwagę na system edukacji i sprawiedliwości w dawnym Meksyku, astronomię i architekturę Imperium inkaskiego czy problem redukcji paragwajskich i kanibalizm.

Tak więc pierwsze wyobrażenia Nowego Świata i jego mieszkańców w świadomości obywateli Rzeczypospolitej szlacheckiej są skrajnie różne. Był to zarówno wizerunek nawróconego czerwonoskórego, jak i pogańska składającego krwawe ofiary bożkom. „Dobry dzikus” i ten, który „je ciało ludzkie bez wstydu się zachowuje”, a światły obywatel państwa Inków występuje obok próżniaczych i leniwych mieszkańców dżungli. Eksponowane nadmierne cnoty i przywary, wierzenia i niehumanitarne traktowanie Indian przez zdobywców, nie dawały pełnego obrazu ani życia codziennego, ani osłabienie cywilizacyjnych tubylców. Doszukiwano się raczej pewnych symboli dobra i zła, egoizmu i wierności, poświęcenia dla ojczyzny czy zdrady, próbując je odnieść do

ALEGORIA AMERYKI 1622 RATVSZ POZNAŃSKI



aktualnej sytuacji Polski doby XVI–XVII wieku. Stąd też wiele przekłamań i nieścisłości w opisie, których żaden nie był oryginalnym dziełem. Niewiele także wnoszą ówczesna niezbyt obfita ikonografia, np. św. Franciszek Ksawery, który nigdy nie przebywał w Ameryce, a ukazywany jest w otoczeniu Indian (obrazy w kościołach jezuitów w Piotrkowie Trybunalskim i Lublinie), czy jedna z najstarszych alegorii Ameryki w Polsce (fresk w Sali Sądowej poznańskiego Ratusza – 1622).

Zapewne tylko w kategoriach tradycji powstałej w dobie zaborów „ku pokrzepieniu serc i ducha” należy traktować opowieści o Wyzdrowie i Tyrkerze, polskich rycerzach z otoczenia Świętosławy, córki Mieszka I wydanej za króla szwedzkiego Eryka. Oni to wraz z Wikingami dotarli na drugą stronę Atlantyku u schyłku X wieku. Dotyczy to także Jana z Kolna, postaci obrosłej w liczne legendy, sztuki teatralne i nazwy ulic; żeglarza, który jeszcze przed Kolumbem miał dotrzeć do wybrzeży Ameryki.

Śledząc do list hiszpańskich i portugalskich załóg biorących udział w wyprawach do Nowego Świata w początkowym okresie konkwisty, można znaleźć zlatynizowane bądź błędnie zapisane nazwiska: Jarzeki (Jarecki), Stanislaus (Stanisław), Przebićtus (Przebysław – ?) czy Ochendorco (Ochęduszek).

Pierwszym znanym z Wisły i Warty przybyszem, który z pewnością dotarł do Ameryki, był Gaspar de Gama, zwany też Gasparem de India, „Żyd z Królestwa Polskiego z miasta Poznania”. W wieku kilkunastu lat cała jego rodzina wyjechała na Bliski Wschód, skąd przez Aleksandrię zawędrował do Indii, zaciągając się na służbę u władcy Goa. W momencie przybycia Portugalczyków (w 1498 roku) pojmany pod zarzutem szpiegostwa, zaoferował im swoje usługi jako pilot i znawca wielu krajów. Po przybyciu do Lizbony ochrzcił się i otrzymał od Vasco da Gamy, swego ojca chrzestnego, imię Gaspar da Gama. Do Ameryki dotarł dosyć przypadkowo, mianowicie w roku 1500 jako pilot wziął udział w wyprawie Pedro Álvaresa Cabrala do Indii. Przeciwnie wiatry spowodowały zmianę kursu na zachód, skutkiem czego 22 kwietnia statki Portugalczyków jako pierwsze ze Starego Kontynentu przybiły do wybrzeży Brazylii. Gaspar da Gama pozostawił po sobie ponoć relację o swoich licznych podróżach, które wraz z mapą, będącą w posiadaniu M. Waldseemüllera, zaginęły. O niewątpliwych zasługach chrześniaka odkrywcę Indii w poznawaniu nowych lądów świadczy umieszczenie jego nazwiska w największych kronikach portugalskich odkrywców z przełomu XV i XVI wieku.

Za pioniera polskich badań etnograficznych w Ameryce uważany jest Krzysztof Arciszewski, postać o niezwykle barwnym i awanturycznym życiorysie. Urodzony w 1592 roku w Rogalinie pod Poznaniem, arianin, uczestnik walk ze Szwedami, skazany na banicję za zabicie swego sąsiada, wyjechał w 1623 roku do Holandii, studiując w Lejdzie inżynierię wojskową i nawigację. Zaciągawszy się na służbę do holenderskiej Kompanii Indii Zachodnich, w latach 1629–39 z niewielkimi przerwami przebywał w Brazylii, stojąc na czele wojsk niderlandzkich walczących z Portugalczakami i Hiszpanami. Po licznych sukcesach, które wyniosły go do rangi admirała floty, utrwalił posiadłości Holendrów w prowincji Pernambuco i kapitanii Itamariki, Paraíba i Rio Grande. Okres pobytu Arciszewskiego w Brazylii to nie tylko śmiałe kampanie i zwycięstwa, ale także prowadzone podczas eskapad prace kartograficzne i notatki z własnymi obserwacjami. Przesłane do Holandii, niestety zaginęły. Ich fragmenty dotyczące Indian Tapuya i Tupi opublikował G. Vossius w swoim dziele *De theologia gentili...* (1642). Fragmenty te zostały przedrukowane przez A. Danysza (Rocznik PTPN 1895) i T. Brzozowskiego (maszynopis), a jedną z map wydała ołcyna J. Blaeua w Amsterdamie (1647). Arciszewski napisał także rozprawę medyczną o podagrze (1643) i wiersz *Rekurs z Indii do Niderlandu...* (1638).

Zachowane zapiski, będące pierwszym polskim materiałem źródłowym o kulturach tubylczych Nowego Świata, dotyczą Indian Tapuya, mieszkańców wybrzeży Brazylii, ich wyglądu zewnętrznego, stroju, broni, wierzeń w demony i związanych z tym obrzędów, nekrofilii oraz kanibalizmu spotkanego wśród Indian Tupi. Materiały K. Arciszewskiego są jedną z nielicznych bezpośrednich relacji europejskich, opisujących tubylców tej części kontynentu, którzy w krótkim czasie ulegli całkowitej zagładzie. Fragmenty zapisków oraz ich znaczenie jako materiału badawczego zostały omówione w pracach Marii Paradowskiej. Po samym Arciszewskim pozostał



KRZYSZTOF ARCISZEWSKI
WÓDZ NACZELNY HOLENDRÓW W BRAZYLII.
STARSZY NAD ARMATĄ KORONNĄ
ZA WŁADYSŁAWA IV I JANA KAZIMIERZA.
1592–1636
Według wizerunku z r. 1637. rysował M.E. Andriolli

Jeszcze portret nieznanego malarza holenderskiego z XVII wieku, a także tablica pamiątkowa, znajdująca się w zbiorach Muzeum Narodowego w Poznaniu.

W tym czasie jeszcze kilku innych Polaków miało sposobność bliższego zetknięcia się z Indianami. O misjonarzu, jezuitę Jerzym Hostyńskim, pracującym od lat osiemdziesiątych XVII stulecia wśród Tarahumara w Meksyku, pisze w liście jego czeski konfrater, Adam Gilg (1726). Swoich podopiecznych, Indian Canesi znaną rzeką Mamore (północna Boliwia), opisuje ksiądz Stanisław Arlet rodem z Opola (list z 1698 roku), który spędził 20 lat w Peru i Boliwii (1697–1717). Pozostawił po sobie także mapę terenów, która z listami przechowywana jest w wiedeńskiej Bibliotece Narodowej.

Wśród pierwszych osadników europejskich w Ameryce Północnej było kilka postaci z polskim rodowodem. Słachcic Michał Łowicki był jednym z założycieli Jamestown (1608), a porucznik armii angielskiej Puttock (Potocki – ?) wziął udział w pierwszych starciach z Indianami. Polskim smolarzom przypisuje się przeprowadzenie pierwszego, skutecznego zresztą, strajku o charakterze politycznym, mającym na celu uzyskanie prawa głosu na równi z osadnikami angielskimi. Olbracht Zaborowski, osiadły w Nowym Amsterdamie (obecnie Nowy Jork) w 1622 roku był pierwszym Polakiem, który nauczył się języka okolicznych Indian. Często był pośrednikiem i tłumaczem między tubylcami a kolonistami. Jego syn, Jakub, od młodych lat przebywał wśród Irokezów poznając ich język i obyczaje, kontynuując potem mediatorską misję ojca. Zaborowski był założycielem jednego z pionierskich rodów późniejszych Stanów Zjednoczonych, którego potomkowie noszą dziś nazwisko „Zabriskie”.

Innym pionierem amerykańskiego Zachodu był Jan Antoni Sadowski, rodem z Wielkopolski, przybyły do Ameryki z początkiem XVIII wieku. Jego awanturnicza natura zdecydowała o zajęciu się handlem, a co za tym idzie, penetracją obszarów zamieszkałych przez samych Indian w Ohio i Pensylwanii, gdzie założył fort Sandusky. Popadł przy tym w konflikty z tubylcami, z rąk których ponosił śmierć. Znajomość języków i obyczajów plemion indiańskich przekazał swoim synom, Jakubowi i Józefowi. Oni to w latach siedemdziesiątych XVIII stulecia, wraz z młodziem Douglasem i Harrodem spenetrowali obszary nieznane białym osadnikom – puszcze Kentucky i wodospady Ohio. Często dochodziło do starć z tubylcami, którzy stawiali opór przybyszom. Jakub jako pierwszy przepłynął rzeką Cumberland, Ohio, Missisipi aż do Nowego Orleanu. W 1775 roku bracia założyli faktorię Sanduskys Station, prowadząc handel z Indianami.

O ile na terenach kolonii hiszpańskich działał misjonarz katolicki, o tyle w kolo-

niach angielskich i holenderskich pojawili się duchowni innych wyznań, wywodzący się w dużej mierze z pochodzenia religijnego. I tak, pierwszym pastorem luterańskim w Ameryce był Jakub Fabrycjusz z Głogowa, przybyły tam po 1660 roku. Na obszarach dzisiejszych Stanów Zjednoczonych dotarł w 1742 roku urodzony w Chojnicach pastor braci czeskich, Krystian Fryderyk Post, który prowadził działalność misyjną wśród Irokezów. Miał trzy żony, z których dwie pierwsze były Indiankami. Dokładna relacja została opublikowana przez samego Posta w Londynie w 1759 roku. Aż na Grenlandię, w roku 1733, dotarło dwóch innych misjonarzy, bracia Mateusz i Krystyn Stachowie, którzy wraz z innymi osadnikami rozpoczęli ponowną kolonizację wyspy (uprzedni okres zasiedlenia Grenlandii zakończył się z początkiem XV wieku). Mateusz Stach prowadził swą działalność misyjną przez 37 lat, większość tego czasu spędzając wśród Eskimosów. Pozostawił po sobie jedno z pierwszych opracowań gramatyki i słowników języka eskimoskiego oraz zapiski będące cennym źródłem opisu historii wydarzeń na wyspie. □

Janusz Jaskulski

Autor jest pracownikiem naukowym Muzeum Instrumentów Muzycznych w Poznaniu, oddział Muzeum Narodowego. Był pomysłodawcą i komisarzem wielkiej wystawy „Ameryka Indiańska – Spotkanie Dwóch Światów” w muzeum Etnograficznym w Poznaniu (1992), za którą otrzymał nagrodę indywidualną I stopnia Ministra Kultury i Sztuki, a obecnie jest współtwórcą wystawy na stulecie Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego „Polskie opisanie świata” (dział obu Ameryk), jaka jest dostępna w Muzeum Etnograficznym we Wrocławiu [ul. Kazimierza Wielkiego 35, czynne wtorek–niedziela, godz. 10–16] i potrwa do czerwca 1996 roku. Dziś publikujemy pierwszą część eseju Janusza Jaskulskiego, napisanego specjalnie do katalogu wystawy. Dokończenie w dwóch następnych numerach „Tawacina”.



TOMAHAWK

„Tomahawk” to czadowe trio zafascynowane kulturą Indian. Muzyka zespołu to połączenie hard core, punku i thrashu, którego dopełniają teksty w większości dotyczące spraw Indian.

Zespół z chęcią grywa koncerty, które stara się rozpoczynać od puszczenia z magnetofonu, przywiezionej z sobą kasety z oryginalną muzyką Indian Ameryki Północnej oraz stworzenia odpowiedniego nastroju.

Jeżeli macie ochotę zobaczyć „Tomahawk” na żywo w swojej miejscowości, to nie trudnego, zapewnił tylko zespołowi w miarę przyzwoite nagłośnienie, zwrot kosztów podróży (w miarę może być również jakiś niewielki grosz), wyżywienie i ewentualnie nocleg (chyba że bezpośrednio po koncercie byłby pociąg powrotny).

Organizatorów koncertów i zignorować zachęcamy do współpracy. Adres zespołu:

JACEK ŻĘDZIAN
UL. ZIELONA 7
19-101 MOŃKI 3

Kasetę zespołu, zatytułowaną „500 lat”, w cenie 2 zł 80 gr. (28.000) + opłata pocztowa, można nabyć pod adresem:

GRZEGORZ HORBACZ
PO BOX 13
76-200 SŁUPSK



DO NABYCIA:



GALERIA FOLK
REKODZIEŁO
SZTUKA LUDOWA
ul. WOŻNA 21
61-776 POZNAŃ

Ponadto:

rzeźba, ceramika, literatura, muzyka i instrumenty w stylu folk.

KSIEGARNIA

„WYDAWNICTWA DOLNOŚLĄSKIEGO”
UL. ŚWIDNICKA 28
WROCŁAW

MAREK CICHOMSKI
UL. BABINA 4/16
62-800 KALISZ

Także: Informator Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian „NA TROPIE”.

RADOSŁAW KISIELEWSKI
UL. ZWIERZYŃCZA 19 A/4
15-312 BIAŁYSTOK

Także: duży wybór ziół, znaczków, kaset itp. Literatura ekologiczna i indiańska.

MUZEUM POD TOTEMEM

Pracownia Literacka
Arkadego Fiedlera

Puszczykówko, ul. Słowackiego 1
tel. 0-61 133-794

Dyrektor: Marek Fiedler
Czynne: wtorek–sobota w godz. 10-13

Książki, pamiątki z podróży, dzieła sztuki, trofea myśliwskie, zbiory fauny z różnych stron świata.

15 lat działalności „Stowarzyszenia Żółwi”

„Stowarzyszenie Żółwi” wkroczyło w kolejny rok swej działalności. Dokładnie w kwietniu 1980 roku rozpoczęliśmy pracę jako Koło Zainteresowań Kulturą Indian (KZKI), nad którym oficjalny patronat przejął Sztumski Ośrodek Kultury. Tak też pozostało do dnia dzisiejszego. Warto tu dodać, że Sztum to niewielkie, dziesięciotysięczne miasteczko (dawniej stolica rolniczego powiatu, obecnie siedziba gminy), położone na zachodnich obrzeżach Pojezierza Iławskiego w województwie elbląskim. Los rządził, że właśnie tutaj znajduje się jeden z najaktywniejszych w Polsce ośrodków indianistycznych, a sztumscy Indianie w większości są lub byli członkami „Stowarzyszenia Żółwi”.

Uznałem, że nasz skromny jubileusz XV-lecia działalności jest dobrą okazją do przedstawienia osobistego bilansu. Dobry obyczaj każe, aby zrobić to szefgrupy. A jest o czym mówić, bo jesteśmy chyba w Polsce najstarszym i najliczniejszym (obecnie mamy ponad trzydziestu członków) aktywnie działającym kołem indianistycznym.

Mój brat, Sławek, jeden z założycieli „Stowarzyszenia Żółwi”, wyliczył ostatnio, że przez nasze szeregi przewinęło się dotąd około osiemdziesięciu osób, do tego doliczyć można około stu pięćdziesięciu członków tzw. Klubu Korespondencyjnego z całej Polski, działającego swego czasu przy naszym Kole. Zorganizowaliśmy około pięćdziesięciu indywidualnych i zbiorowych wystaw tradycyjnego rękodzieła i sztuki indianiejskiej z obu Ameryk, pochodzących z mojej prywatnej kolekcji i zbiorów naszych członków, które obejrzało ponad sto tysięcy widzów. Do tego należy dodać niezliczoną ilość występów „Tancerzy Stowarzyszenia Żółwi” w wielu zakątkach Polski,

prelekcji i odczytów wygłoszonych w szkołach, klubach, na koloniach letnich i obozach, okazjonalnych seminariach naukowych, udział w programach telewizyjnych i radiowych, organizację obozów szkoleniowych, obrzędowych spotkań itp.

Początki były skromne: grupka zapaleńców w prowincjonalnym miasteczku, zagubionym gdzieś w północnej Polsce; zapaleńców, którzy wyszli z ogólnie rozumianego Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian, postanowili rozpocząć własną, niezależną działalność, bez oglądania się na toczony marazm indianistów – jak wówczas sądziliśmy – gotowych do pracy tylko podczas ogólnopolskich zlotów. Co nie przeszkadza, że do dziś uważamy się za integralną część Ruchu i w nim szukamy swoich korzeni.

Bacznie przyglądamy się różnym inicjatywom popularyzującym wszelkie formy kultury materialnej i duchowej tubylczych Amerykanów, zarówno w ramach Ruchu, jak i Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian, czy wreszcie grup lokalnych. Cieszą nas ich sukcesy, martwią porażki. Kiedyś po stawiliśmy na całkowite samodzielność działalności i tak już pewnie pozostanie, choć nie wykluczamy w przyszłości jakichś form współpracy z tą czy inną grupą Indianistów w Polsce.

Po latach poszukiwań i eksperymentów, niekiedy fascynujących i twórczych, czasami prowadzących w ślepe zaułki – wypracowaliśmy własny model pracy.

Obecnie w naszym Kole działają trzy sekcje:

Zespół „Tancerze Stowarzyszenia Żółwi”, którego kierownikiem artystycznym jest Sławomir Michalik, zajmuje się propagowaniem współczesnego folkloru in-

diańskiego, typu *pow wow*. Członkowie zespołu sami szyją i ozdabiają swoje kostiumy, zarabiając na nie występami w różnych zakątkach Polski. Stroje i rekwizyty charakterystyczne dla różnych regionów Indianiejskiej Ameryki, sporządzane są z największą pieczołowitością i z użyciem takich surowców jak skóry i futra zwierzęce, naturalne i barwione pióra, szklane paciorki, kolorowe płótna z naturalnych włókien itp. Zespół przygotowuje się obecnie do nowego programu tańców. Być może uda się też zastąpić oryginalny podkład muzyczny z taśm – muzyką w wykonaniu własnych śpiewaków i drumerów.

Grupa osób praktykujących współczesną Indianiejską „Ścieżkę Mocy” Sun Beara, znanego w Ameryce i Europie Zachodniej szamana z plemienia Chippewa, oraz innych nauczycieli i szamanów Indianiejskich – wspiera mnie i moją żonę, Elke, w organizacji seminariów wprowadzających w elementy Indianiejskiej filozofii życia w harmonii z Naturą i Matką Ziemią. Jesteśmy z Elke jedynymi z ostatnich i jedynymi polskimi uczniami Sun Beara, który zmarł w 1992 roku. Cykl wprowadzający obejmuje cztery kolejne etapy tzw. Spotkań na Ścieżce Mocy. Staramy się przekazać uczestnikom Spotkań elementarną wiedzę z zakresu kosmologii Indianiejskiej, nawiązującej przede wszystkim do tradycji plemienia Chippewa, z którego pochodził Sun Bear, technik samoleczenia i leczenia Matki Ziemi, pracy z pozytywnymi rodzajami energii, naukę sporządzania tzw. przedmiotów mocy, naukę pieśni obrzędowych, mnóstwo praktycznych ćwiczeń i udział w licznych ceremoniach. Od dwóch lat utrzymujemy ścisłe kontakty z Bear Tribe w Europie Zachodniej, sześć osób z naszej grupy zostało przyjęte do zespołu „La Duke” – międzynarodowej grupy przygotowującej, prowadzącej i obsługującej ceremonie szlasy pary w tradycji plemienia Chippewa w różnych krajach Europy Zachodniej i Środkowej. Nakładem dużych środków finansowych i ogromnej pracy stworzyliśmy we wsi Uśnice koło Sztumu pierwszy w Polsce ośrodek o charakterze obrzędowo-seminaryjnym, służący poznawaniu i obrzędowej praktyce Ścieżki Mocy Sun Beara.

W trzeciej sekcji „Stowarzyszenia Żółwi” pracuje zespół redakcyjny kwartalnika „Kayas Ochi”. Pismo nasze powstało w 1990 roku i zajmujemy się przede wszystkim propagowaniem rozmaitych elementów współczesnej duchowości Indianiejskiej, ale nie tylko. Ogromna większość naszych czytelników to stali prenumeratorzy, choć nie wszyscy identyfikują się ze środowiskami indianistycznymi, stąd w „Kayas Ochi” pojawia się wiele artykułów wprowadzających w przeróżne aspekty historii i kultury materialnej Pierwszych Amerykanów. „Kayas Ochi” ma zasięg ogólnopolski. Ze względu na ograniczone środki finansowe, a co za tym idzie – również ograniczone środki techniczne, nasze pismo ukazuje się na skromnym poziomie edytorskim. Cały zespół redakcyjny pracuje nieodpłatnie, a pismo praktycznie rozprowadzane jest bez zysku.

Zmiany w Polsce nie omijają naszego Koła. Wchodzimy w kolejny rok pracy w dobrej kondycji, ale przed nami nowe zadania do wykonania i nowe wyzwania. Jeśli będziemy z nami, chociażby dobrą myślą, sprostamy im. Ho!

Leszek Michalik



„Kayas Ochi” ukazuje się w objętości około 40 stron i zawiera bogate informacje dotyczące współczesnej duchowości Indian północnoamerykańskich, nauk Sun Beara oraz innych nauczycieli tzw. „ścieżki mocy”.

Ponadto przedstawiamy:

- duchowość Indianiejską w Polsce
 - legendy Indianiejskie
 - sylwetki współczesnych artystów Indianiejskich
 - informacje o bieżących poczynaniach KZKI „Stowarzyszenie Żółwi”
- oraz wiele innych atrakcyjnych tematów.

Wszelkie informacje pod adresem:

Koło Zainteresowań Kulturą Indian
Sztumski Ośrodek Kultury
ul. Reja 13
82-400 Sztum

(prosimy dołączyć dwa znaczki na list)

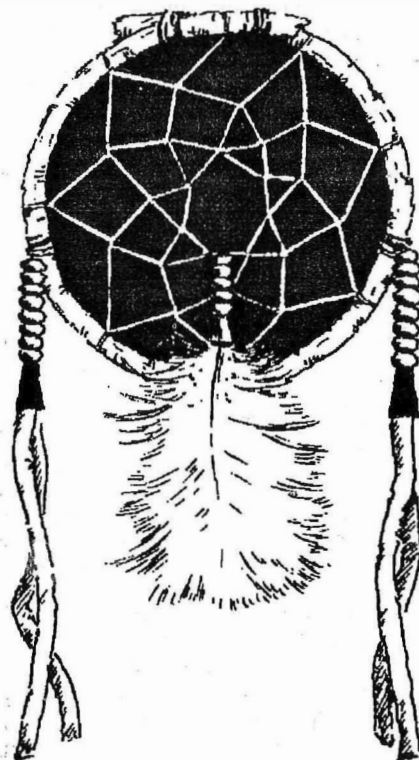
ŁAPACZ SNÓW

Dla niektórych łapacze snów są psychicznym filtrem, tarczą przeciwko złu w naszym umyśle i świecie, który nas otacza. Dla innych te ręcznie wykonywane przyrządy mają znaczenie religijne, odwołujące się do czasów burzliwych przemian. Jeszcze dla innych łapacz snów jest po prostu darem od dobrych mocy. Cokolwiek oznacza, łapacz snów staje się coraz bardziej popularny wśród rzemieślników i właścicieli sklepów z upominkami. Są sprzedawane we wszystkich rozmiarach i cenach. Zdaniem sprzedawców popularnością cieszą się również kołczyki w kształcie łapacza snów. Zgodnie z tradycją przyrządy te wykonywane są z miękkiego drzewa (na przykład wierzby) w kształcie koła. W środku tka się coś w rodzaju pajęczyny ze zwierzęcych ścięgien. Roy Winters z Muzeum Słuków i Centrum Sztuki w Rapid City powiedział, że łapacze snów pochodzą najprawdopodobniej od Indian Chippewa z Michigan i Minnesoty.

Tubylcza ludność Ameryki w swej wspanialej prostocie wierzy, że w powietrzu znajdują się zarówno dobre, jak i złe sny. Tradycyjnie łapacze snów wieszano w tipi nad legowiskami i kołyskami dzieci. Legenda mówi, że dobre sny przechodzą przez otwór w środku i trafiają do śpiącego, zaś złe są wędzone w sieci i giną w świetle dnia. Wielu tubylczych Amerykanów wierzy, że gdy śpiący sny opuszczają nas. Dzięki łapaczowi snów, duch snu prowadzi złe sny do pułapki w sieci, a dobrym pozwala prześlizgnąć się przez okrągły otwór, by mogły się spełnić. Wraz z pierwszymi promieniami słońca złe sny złapane w sieci unieśstwiają się.

Według Brycene Nelman – kustosa Narodowego Muzeum Indian w Yakima były one również używane wśród plemienia

środkowego Waszyngtonu, zwanego jako Ludzie Wodza Mosesa, które w połowie XIX wieku zamieszkiwało tereny Colville. Sąsiednie plemiona uważały Wodza Mosesa i jego ludzi za bardzo uduchowionych. Podczas gdy wszyscy Indianie zaangażowani byli w walki z białymi, Wódz Moses konstruował przyrząd podobny do łapacza snów, aby z jego pomocą przejrzeć na drugą stronę. Następnie dzielił się ze swymi ludźmi tym, co ujrzał przez otwór łapacza snów. Były to prorocze przesłania, przekazywane najczęściej w formie pieśni, które



dawały ludziom pewien rodzaj nadziei, by mogli zmierzyć się z mijającym biegiem życia. – Ci, którzy potrafią połączyć się z drugą stroną... to jest klucz! – powiedział Nelman. Jego zdaniem sieć oznacza tę wielkość spośród nas, którzy nie będą mieli możliwości zobaczenia drugiej strony dopóki nie nadejdzie ich czas. Otwórz w sieci to ci, którzy mają tę możliwość już teraz. Kontrowersje powstałe wokół religijnego znaczenia łapacza snów wśród niektórych plemion sprawiły, że dla ludzi ze środkowego Waszyngtonu ma on szczególną wartość. – Sny są stanem ducha – powiedział. – Każdy śni, ale tylko nieliczni potrafią przejrzeć na drugą stronę, ci którzy potrafią, uważani są za uzdrowicieli, sprowadzają oni pieśń i wizję dla pozostałych.

Według Larry'ego White Dirt istnieje inne podanie, według którego łapacz snów pochodzi od młodego Indianina, zwanego Sweet Medicine (Słodkie Lekarstwo). Kiedy Słodkie Lekarstwo odbywał obrzęd poszukiwania węża, która wskaże mu drogę w życiu, pająk przekazał mu tajemnicę sieci. Krag przedstawia życie, a sieć łączy sny i modlitwy ze środkiem, a przez otwór przechodzą one do niebios i Stwórcy.

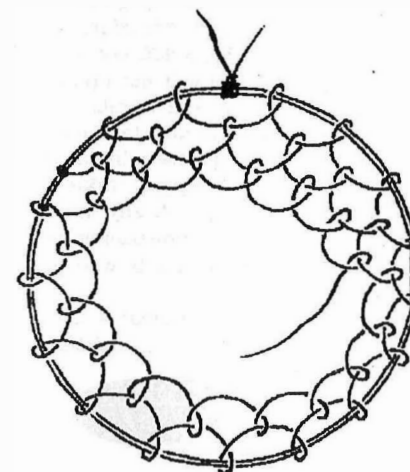
Obecnie łapacze snów są popularne nie tylko wśród Indian. Arlene Lacell, która przedstawiła wzór łapacza snów dla Muzeum Toppenish. Wtedy zauważyła jego ros-

nącą popularność, spowodowaną tym, iż jest łatwym do wykonania elementem sztuki Indiankiej. – Do ozdobienia łapacza snów używa się przeważnie piór i paciorków, ale różnorodność tych przyrządów równa się różnorodności snów – powiedziała Lacell. – Kiedy utkasz pajęczynę, to jak ją ozdobisz, zależy tylko od twojej wyobraźni.

Sposób wykonania

1. Zrobić obręcz z cienkiej gałązki wierzby.
2. Owinąć obręcz skórą, pozostawiając końce wystarczająco długie by je związać.
3. Utknąć pajęczynę ze ścięgien. Umieścić wiązania w jednakowych odległościach dookoła obręczy, za wyjątkiem odległości między pierwszym i ostatnim wiązaniem, które powinno być mniejsze od pozostałych. Poza tym umieszczając pierwsze wiązanie w północno-zachodnim lub północno-wschodnim krańcu, z łatwością da się ukryć miejsce przymocowania elementów dekoracyjnych.
4. Przywiązać skórzane frędzle.
5. Udekorować koralikami, muszelkami, kamieniami, piórami etc.

Średnica obręczy	Długość skóry do owinięcia	Długość ścięgien	Odległość między wiązaniami
10 cm	75 cm	90 cm	3,8 cm
23 cm	180 cm	360 cm	8,2 cm
25 cm	230 cm	450 cm	10 cm
28 cm	230 cm	450 cm	10 cm



Aby łapacz snów uwięził wszystkie twoje złe sny i przepuszczał tylko dobre, powinien mieć niektóre z następujących ozdób:

- Paciorki lub pióra – spełniają sny
- Róg jelenia – powodzenie w łowach
- Cedr lub szalwia – dobre zdrowie
- Ludzki włos – chroni przed wrogami
- Futerko – wygoda i ciepło
- Koński włos – wytrzymałość
- Turkus – siła
- Kryształ – moc
- Pazury – ochrona

Na podstawie tłumaczenia M.L. artykułu Grega Tuttle opracował Niedźwiadek.



PSPI oraz Tawacin (uwagi)

Prezentacja

Jestem autorem 6 wydanych książek, dwie dalsze w toku produkcji, kilka prac w maszynopisach. Od 50 lat zajmuję się westernem, zwłaszcza tematyką Indian USA i Kanady. O westernie opublikowałem około 40 artykułów w prasie w Polsce i USA, jestem autorem przekładów powieści Maxa Branda i Zane'a Greya. Jako jedyny Polak należę do Zane Grey's Society w USA. Ostatnio piszę trochę o filmowych westernach (3 większe publikacje).

PSPI i „Tawacin”

zalety: obrona Indian, kultywowanie ich historii i tradycji, ochrona środowiska naturalnego.

wady: elitarność, infantylne widowiska (przebieganie się za Indian, co wywołuje powszechną wesołość), zawężanie się na problematyce **tylko** indiańskiej (apologia Indian słuszną w założeniu staje się czymś monotonnym) – „Tawacin” jest przeładowany tematyką **tylko** indiańską, przez co także staje się monotony, poza tym jest redagowany niezbyt profesjonalnie.

kierunki rozwoju: stworzenie czegoś zupełnie nowego, np. Klubu Miłośników Westernu, albo raczej Polskiego Klubu Miłośników Westernu.

PKMW (Polski Klub Miłośników Westernu) mógłby działać na zasadach Stowarzyszenia, utrzymywać się ze składek członkowskich, dotacji, darowizn, fundacji itp. Mógłby działać na terenie całej Polski, wydawać własne pismo oraz prowadzić wydawnictwo.

PKMW nie byłby organizacją elitarną (złożoną z młodych naukowców, którzy swe badania mogą prowadzić na uczelniach), lecz ogólnodostępną, zwłaszcza dla młodzieży.

PKMW mógłby się opierać na ideałach *scoutingu*, na ideałach propagowanych

przez Jacka Londona (klub Londona istniał przed wojną w Polsce przy YMCA) oraz na przesłaniu, jakie niesie z sobą western (zwycięstwo Dobra nad Złem, ochrona przyrody, zwierząt itp.)

Propagowałby tematykę historii kolonizacji Zachodu USA, a także stosunków Polsko-Amerykańskich, dalej – dobrą literaturę i dobry film.

W przyszłości możliwość nawiązania kontaktów z tego typu stowarzyszeniami w Niemczech (Towarzystwo Karola May), w Czechach, Francji i USA. Wymiana prasy, książek, prelegentów etc.

Uwaga! Jest to wyłącznie mój punkt widzenia na cały problem.

Oczywiście problematyka Indian północnoamerykańskich byłaby znacząca, jednakże nie wyłączna w kształtowaniu profilu PKMW.

Zdaje sobie sprawę z trudności przy organizowaniu tegoż przedsięwzięcia, zwłaszcza natury finansowej. Wydaje mi się, iż istotną rolę mogłaby tu odegrać telewizja; krótki, powiedzmy, półgodzinny program raz w miesiącu pozwoliłby na odpowiednie rozpropagowanie idei w zarysie przedstawionej.

W ewentualnej dyskusji program wyżej podany (a raczej jego zarys) uległby zapewne pewnym korektom. Każde zdanie ludzi kompetentnych trzeba wziąć pod uwagę. Garść uwag tu rzuconych ma charakter spontaniczny, jednakowoż wynika z nich nić przewodnia. Należy pamiętać, że w Polsce pojęcie westernu, problem Indian, literatura i film westernowy są traktowane przez ogół w sposób specyficzny, najogólniej biorąc z mocnym przymrużeniem oka. I z tego przede wszystkim trzeba wyciągnąć wnioski.

mgr Roman A. Gajczak
Wadowice



Indianie w „Swojskich klimatach”...

„Niedawno poprzez TV dowiedziałem się o istnieniu Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian. Od dawna interesuję się Indianami i wszystkim, co ich dotyczy. Lecz samemu w swoich zainteresowaniach niewiele mogłem zdziałać. Dlatego napisałem do redakcji „Swojskich klimatów”. Oni natychmiast skontaktowali mnie z Viktoriem, który dał mi adres do Ciebie i powiedział o piśmie „Tawacin”, które chciałbym zaprenumerować.

Jarek Pruchniewski
Łódź

„Na pewno mnie nie znasz, więc się przedstawię – Jestem Elka (krywa Biedronka). Pochodzę z Bieszczad, a dokładnie z Humnisk. Długo szukałam kontaktu z ludźmi, którzy kochają Indian. Wreszcie zobaczyłam program „Swojskie klimaty” poświęcony polskim Indianom i... rozryczałam się. Rodzinka też ryczała, tylko że ze śmiechu. Poczulałam żal, że mnie tam z wami ani raz nie było, tęskniłam za naturą i przekonanie, że takie życie – to samo życie. W sam raz dla mnie.

Napisałam do „Swojskich klimatów” po adres do was i przysłał mi twój. Podobno informacje o zlocie i kontakt można nawiązać poprzez prenumeratę gazety, której tytułu nie mogę rozszyfrować z kartki. Bardzo chętnie ją zaprenumeruję. I oczywiście napisz, co z tym złotem? Czy każdy może przyjechać?

Biedronka

Od redakcji: Jubileuszowy XX Zlot Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian odbędzie się w drugiej połowie lipca 1996 roku w okolicach Chodzieży (woj. piłskie). Formuła zlotu przewiduje, że jest on otwarty i dostępny dla wszystkich, którzy interesują się Indianami i którzy zaakceptują warunki podane przez organizatorów. Po wstępnym zgłoszeniu swego udziału, każdy uczestnik zlotu otrzymuje imienne zaproszenie. Pierwsze informacje o zlocie podamy prawdopodobnie w następnym numerze „Tawacinu”.

w „Żołnierzu Polskim”...

„Wydaje mi się, że listów takich jak ten dostaje Pan więcej, a przynajmniej teraz, kiedy adres Pana ukazał się w gazecie „Żołnierz Polski”. Jak się Pan już pewnie domyśla jestem żołnierzem, a list ten piszę śledząc na służbie.

Bardzo się ucieszyłem widząc artykuł w gazecie zatytułowany *Gdzie pasą się bizony...*, a jeszcze bardziej, gdy zobaczyłem adresy ludzi, z którymi można nawiązać kontakt i od których można się więcej dowiedzieć o PSPI i o ludziach, którzy mnie zafascynowali niespełna trzy lata temu, a o których wiem bardzo niewiele (chodzi oczywiście o Indian). O ludziach z PSPI czytałem kiedyś w gazecie artykuł, lecz niestety nie było żadnego adresu kontaktowego, a list wysłany przeze mnie do redakcji pozostał bez odpowiedzi. Nie pozostało mi nic innego jak tylko czekać na następny artykuł tego rodzaju, no i nareszcie doczekałem się. Mam nadzieję, że Pan jako redaktor naczelny Pisma Przyjaciół Indian „Tawacin”, mógłby udzielić mi wskazówek dotyczących spotkań organizowanych przez Stowarzyszenie, kontaktów z ludźmi, którzy interesują się również „Braćmi zza Wielkiej Wody”, dotyczących prenumeraty pisma Tawacin i informacji dotyczącej wstąpienia do PSPI.

Mam dwadzieścia lat, w chwili obecnej służę w Marynarce Wojennej, a jestem na szkoleniu w Przasnyszu. Na stałe mieszkam w Uście, interesuję się łowiectwem, przyrodą; najchętniej zamieszkałbym z dala od miasta w jakiejś cichej dolinie, gdzie otaczałby mnie las, spokój i cisza.

Mam nadzieję, że mój list nie pozostanie odłożony „na później” i z czasem zapomniany.

mar. Adrian Górny

Od redakcji: Warunki prenumeraty „Tawacinu” podawane są zawsze na trzeciej stronie okładki i pozostają one niezmiennie przez cały rok. Dotyczą one jednak tylko roku bieżącego, pre-



numerata w roku następnym jest przeważnie trochę wyższa (inflacja, koszt papieru i energii). Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian (PSPI) jest odrębną organizacją i mimo wielu naszych próśb nie otrzymaliśmy aktualnej informacji o trybie przyjmowania nowych członków, ani też programu imprez i spotkań. PSPI wywodzi się z szeroko pojętego Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian, do którego należą wszyscy zainteresowani Indianami, bez potrzeby pisania specjalnych podań czy wniosków. Jedynym warunkiem uczestnictwa w Ruchu jest... interesowanie się tubylczymi mieszkańcami obu Ameryk.

i na wyścigach

Nazywam się Renata Masna i mieszkam w Garwolinie. Należę do 4 DSH ADVENTURE. Ostatnio byłam w Warszawie na wyścigach, na których Ty także byłeś (chyba). Zakupiłam tam książkę pt. *Wietrzny Orzeł. Legendy Abenaków*. Bardzo mi się spodobała. Chciałabym także zaprenumerować pismo „Tawacin”.

Interesuje mnie coraz bardziej kultura, obyczaje, budownictwo Indian. Chciałabym pogłębiać swoją wiedzę na ten temat. Gdybym nauczyła się np. zdobnictwa, to mogłabym te moje umiejętności przekazać na zbiorce harcerskiej mojej drużynie. Prawdę mówiąc to jest wiele osób u mnie w drużynie, które interesują się Indianizmem. Naciskali na mnie bardzo, abym napisała do Ciebie list. Mam nadzieję, że nie rozpatrzysz mojej prośby negatywnie. W swoich planach (skrytych) mam także założenie klubu Przyjaciół Indian u siebie w drużynie. Wtedy, gdy miałabym kontakt z Tobą, wiele materiałów, to zainteresowanie moje i moich przyjaciół byłoby w pewnym sensie zaspokojone.

Może jest zbyt śmiało to, co piszę, ale naprawdę chciałabym, aby to wszystko się udało.

Renata Masna
Garwolin

Prosto z Kanady

Stittsville, Ontario

Drogi Marku,

Byłem w kanadyjskim departamencie do spraw Indian. Dużo się zmienił na korzyść Indian. Mam też wiadomości o nowych rezerwach dla Bizonów.

Widziałem się z moją rodziną w rezerwacie Kakanabeka. Byłem na wielkim zgromadzeniu wodzów różnych grup indiańskich. Opowiadałem im o naszym Stowarzyszeniu i pokazywałem zdjęcia z ostatniego naszego Zlotu. Przesyłałam serdeczne pozdrowienia dla wszystkich jego uczestników i – jak powiedział jeden z wodzów Czarnych Stóp – „Oby nigdy czarne chmury nie pojawiały się nad waszymi łupami”.

Jutro córka zawozi mnie do Mohawków, będę się widział z moim kuzynem Michelem.

Pozdrawiam Cię serdecznie i wszystkich czytelników „Tawacina”,

Sat-Okh

SONDA INFORMATORA „NA TROPIE”

„Tawacin” obchodzi swoje 10-lecie.

Co sądzisz o tym piśmie?

Mój pierwszy zachwyt „Tawacinem” już minął. Na początku po prostu nie mogłam uwierzyć, że coś takiego istnieje. Teraz myślę, że „Tawacin” jest dla mnie jakimś początkiem, jakąś podstawą wiedzy o Indianach. Przedtem wiedziałam tylko, że bardzo chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o Indianach, ale jakoś nigdy nie przeczytałam żadnej mówiącej o nich książki. Teraz dzięki „Tawacinowi” wiem, że jest wielu ludzi interesujących się Indianami, dowiaduję się jak żyją Indianie i jakie są ich aktualne problemy – czego nie znalazłabym w żadnej książce, zwłaszcza, że nie znam języka angielskiego. Zaczynam interesować się wszystkim, co dotyczy Indian obu Ameryk. Jak na razie moja wiedza wciąż jest znikoma, ale dzięki „Tawacinowi” cały czas się ona poszerza. Na razie chyba nie mogę powiedzieć nic negatywnego o tym piśmie – przeczytałam tylko kilka



numerów, a poza tym nie znam żadnego innego pisma o tej tematyce, więc nie mam żadnego porównania.

Anna Poplewska
Poznań

„Tawacin” – to profesjonalne pismo i jak na razie w Polsce nie ma czegoś równie doskonałego. Podziękować należałoby wszystkim, którzy współpracują z redakcją, no i oczywiście redakcji, bo to co robią, to „kawał” dobrej roboty. Pismo przeszło ogromną metamorfozę od brzydkiego kaczątka (pisanego na maszynie) do pięknego labędzia (skład komputerowy, kolor, ilość i jakość materiału). Numer jeden na polskim rynku.

Bogdan Herba
Milicz

Co sądzę o „Tawacinie”? Cóż, poza znaczną poprawą druku, interpretacji, panoramy problemu i podniesienia poziomu inteligencji (autorów) to niewiele się zmieniło. Był i nadal jest taranem wbiłającym w tępe białe głowy problematykę indiańską, w doskonały (moim zdaniem) i jasny sposób.

Jacek Przybylak
Chodzież

„Tawacin” – mam wszystkie numery, choć pismo znam dopiero od dwóch lat. Jeśli chodzi o szatę graficzną i jakość zewnętrzną to jest to najlepszy periodyk indianistyczny w kraju (chyba nie głoszę nic nowego?). Uważam też, że jako pismo PSPI jest ono bez zarzutu. Dla mnie osobiście za mało w nim duchowości – tej dawnej i tej dzisiejszej, ale znajduję ją w „Kayas Ochi”. Wielostronicowe, dokładne – przyznaję – analizy jakichś epizodów z historii nudzą mnie. To rzecz dla zagorzałych hobbystów w stylu Czejena (często zresztą jego autorstwa). W przyszłości chciałabym znajdować więcej zdjęć (marzy mi się kolorowe pismo...), póki co – rysunki mojego przyjaciela Mirka są fantastyczne i wystarczają. Ogólnie – „Tawacin” rozwija się w oczach na lepsze, mimo to chciałabym go widzieć np. jako dwumiesięcznik (jeśli nie miesięcznik), w kolorowej szacie na śliskim papierze... Czego życzę z okazji 10-lecia!

Paweł Głogowski
Nowy Dwór Mazowiecki

„Tawacin” to bardzo profesjonalne pismo. Patrząc na numery starsze widać pewne różnice – oczywiście na korzyść. Podniósł się merytoryczny i techniczny poziom pisma. Choć do części merytorycznej nie było nigdy zastrzeżeń, to grafika i okładki znacznie podniosły swoją jakość. Za to szczególne podziękowania należą się wydawcom; z tego wynika, że nie jest to pismo przynoszące dochody, ale propagujące kulturę, obyczaje i współczesne sprawy Indian. Dzięki różnorodnym artykułom, serwisom, reportażom i recenzjom można się wiele dowiedzieć, jak i też włączyć w bezpośrednią pomoc dla Indian, pisząc np. do władz indyjskich.

Sebastian Herman
Siechnice

Choć czytałam raptem 5 numerów, jestem pod wrażeniem wiadomości zawartych w piśmie: są esencjonalne i treściwe. Z pochwałą to tyle. Ale mam jedną innowację: czy nie można by było zrobić, aby jeden numer dotyczył jednego tematu, jednego plemienia lub jednego zagadnienia?

Małgorzata Majchrzycka
Wrocław

Znam to pismo zaledwie od roku. Zawsze gdy przychodził czas, w którym spodziewam się otrzymać kolejny numer, sprawdzam przy każdej okazji zawartość skrzynki na listy. Było to pierwsze i jak dotąd jedyne pismo poświęcone Indianom, jakie czytałam. Teoretycznie powinno być ono monotonne. Mnie jednak zachwyca jego różnorodność – historia przeplata się ze współczesnością, jest miejsce i na poezję, i na kulinarię (moja wielka namiętność). Brakuje mi jednak tekstów takich, jak opowieść Czarnego Łosia, czy też wspomnienia Dobrej Tarczy.

Jeszcze jedna istotna uwaga: po przeczytaniu każdego numeru teoretycznie wiem więcej, ale w praktyce okazuje się, że coraz więcej wiedzy mi brakuje.

Urszula Urban
Białystok

Sondę Informatora PRPI „Na tropie” przeprowadził, opracował i do druku podał Marek Ci-chomski.

O jeden mit za daleko

*Myśleć przeciw
własnemu komfortowi*

Jan Błoński

Złotowa codzienność niezmiennie przebiega pod sztandarami poszanowania indiańskich tradycji. Noszone przez wielu koturny znawców i wskrzesicieli są jednak koślawe, a oczom nie zezwalają na inny punkt widzenia. Warto wziąć jednak pod uwagę, że to właśnie kultura białej Ameryki, przy użyciu tak potężnych oręży jak przemysł filmowy i masowi bohaterowie, w dużym stopniu wykreowała obraz Indianina i wielu towarzyszących mu atrybutów. Wchłanialiśmy i nadal wchłaniamy owe obrazy niczym porządne tetrowe pie-luchy. W pewnym momencie osłaga się taki poziom nasycenia, że trudno odnaleźć granicę między stereotypem a znajomością rzeczy poza niego wykraczającą. Często dziać się tak po prostu musi, ponieważ dla wielu ludzi brak jasnych kategorii klasyfikacyjnych i wartościujących jest zabójczy. Tylko one pozwalają im na bezkolizyjne i wygodne poruszanie się w świecie.

Bodźcem do tej refleksji było jedno, na pozór błahe, wydarzenie mające miejsce podczas tegorocznego złotu. Oto osobom głośno słuchającym muzyki rockowej („białej”) powiedziano, że przebywają na spot-

kanlu Indianistów, czyli ludzi interesujących się Indianami. I muzyka ta to właściwie policzek wymierzony w tradycję. Ów słowny manifest ugodził jednak nie w here-tyków, ale akurat w strażników nadmienionej tradycji. Tzw. indiańskie tradycje na złocie to bowiem dość kuriozalny twór. Niektóre jego elementy – np. wylewne powitania czy wszędobylskie okadzanie szalwią – zrobiły karierę jak czapki z pawimi piórami u Polonusów. Inne elementy tradycji pojawiają się okazjonalnie w zależności od osobistych upodobań. Pozostałe (jakże liczne!) fragmenty indiańskich kultur odrzucamy, nie uznajemy za godne odtwarzania, za „nasze”, a najczęściej w ogóle nie mamy o nich pojęcia. Zamknęliśmy się w fotogenicznym, odpowiadającym naszym gustom getcie. Wymuszanie na nowych złotowiczach dostosowania się do złotych obyczajów, bo uprawamacniają je obyczaje Indian, jest po prostu nieuczciwością. Więcej odwagi – muszą się dostosować, bo nam trudno zmienić swoje przyzwyczajenia i wykreowane normy postępowania.

A przecież każda tradycja, także indiańska, której tak wielu, jak im się zdaje holduje, to coś wiecznie żywego, zmiennego. Nie ma kanonu, ani ustalonego kształtu. Jest owocem transmisji, zapożyczeń, przeszczepów. Pojmowanie tradycji w postaci dekalogu norm moralnych i estetycznych to odmiana jałowego fundamentalizmu, który coraz głębiej, niestety, wnika w mechanizmy złotowego życia. W tym kontekście powoływanie się na przywilej reprezentowania głosu Indian w Polsce i udatnego reaktywowania fragmentów tubylczych *modus vivendi* jest zwykłym nadużyciem.

Wypreparowane i odgrywane na złotych elementach tzw. indiańskich tradycji okazują się tworem zależnym od możliwości naszych, ciągle niezasobnych, kieszeni i naszej, wciąż mizernej wiedzy i wyobraźni. Ktoś mógłby powiedzieć, że stojące w kręgu płóciennego tipi stają się rodzajem taniej, przenośnej dekoracji złotu przyjaceli (trafnie: pasjonatów) Indian żyjących w połowie XIX wieku na północnoamerykańskich Równinach. Ja powiem więcej – złotu przyjaceli własnych na ten temat wyobrażeń. Co najwyżej. □

Waldemar Kuligowski



Zwierzenia Cienia

25. Weterani lubią wracać myślą do przeszłości. Jako jeden z weteranów „Tawacinu”, współtworzący go od chwili jego narodzin przed dziesięciu laty, nie mogę sobie odmówić chwili wspomnień. Przed siedmioma laty, w jubileuszowym wówczas – bo dziesiątym – „Tawacinie”, pisałem: „Kiedy latem 1985 r., na suwalskim zlocie, zdecydowaliśmy się wydawać *Przegląd Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian*, byliśmy pełni obaw, czy uda się nam pokonać rozmaite trudności i czy będziemy mogli liczyć na Wasze zaufanie i współpracę. Kiedy nowemu piśmu nadawaliśmy dakocką nazwę, oznaczającą wiedzę i mądrość, stawialiśmy sobie za zadanie tematyczną różnorodność i wysoki poziom materiałów. Dziś dalecy jesteśmy od pełnej satysfakcji. Nie zadowala nas ani jakość, ani ilość naszych publikacji. Doskwiera brak pełnej informacji, trwałego zaplecza i możliwości napisania o wszystkim, co ważne i ciekawe – u nas i w Ziemi Indian.”

26. Dziś, w dziesięciolecie „Tawacinu”, nie waham się napisać, że to dzięki Wam, naszym Czytelnikom i Współpracownikom, nie lękamy się barier ani trudności. I że choć wiele zrobiliśmy, by podnieść merytoryczny i techniczny poziom naszego piśma, to nadal „dalecy jesteśmy od pełnej satysfakcji”. Podobnie też – choć nie zawsze to samo mając na myśli – określilibyśmy nasze bolączki. Mądrzejsi o rozmaite życiowe i redakcyjne doświadczenia (Wiesław Karnabal, Marek Maciolek i ja – czy znacie inne tak różnicowane wewnętrznie, lecz tak trwale i owocnie współpracujące ze sobą zespoły?), dopisalibyśmy do nich nasze wątpliwości związane z odpowiedzialnością za wizję kreowanego przez nas indiańskiego Świata, za popularyzowane za naszym pośrednictwem idee i wartości, za kształtowanie zainteresowań, fascynacji i życiowych postaw tych setek już – młodych zwykle – ludzi, którzy wciąż wstępują w nasze ślady.

27. Swoje pięćdziesiąt – i wydanie 15. numeru – „Tawacinu” obchodził pod koniec 1990 roku (swoją drogą ciekawe, ilu z Was pamięta tamte czasy?). Jako jedyne bodaj wtedy pismo przyjać Indian – informował, komentował i starał się wskazywać drogę. Dla Indian był to czas obchodów stulecia masakry nad Wounded Knee i głośnych protestów w rezerwach Mohawków. Dla nas był to rok nowych możliwości, związanych z rejestracją PSPI i Świętym Biegiem w Polsce (napisałem wówczas, cytując Jacka Piwowskiego, że „dla wielu ludzi Bieg ten nigdy się nie skończy”; nowe wspomnienia naszych przyjaciół z Japonii i kolejne propozycje – potwierdzają tamte przewidywania). Rok 1990 był też ostatnim rokiem „Tawacinu” jako „Przeglądu PRPI” – amatorskiego maszynopisu, odbijanego w skromnym nakładzie na ksero „do użytku wewnętrznego”.

28. Już za parę miesięcy kilka, może kilkanaście osób weźmie udział w kolejnym wywodzącym się z indiańskich tradycji biegu, lub w innych międzynarodowych imprezach z udziałem tubylczych Amerykanów. Przez lata było to dla nas coś nieosiągalnego. Dziś warto korzystać z szans, które otrzymaliśmy i które – po części – sami wypracowujemy. Za parę miesięcy kilkadziesiąt osób weźmie udział w kolejnym Walnym Zgromadzeniu Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian (PSPI). Po 6 latach sukcesów i porażek jego członkowie staną, już w marcu w Warszawie, przed koniecznością nowych wyborów – organizacyjnych i personalnych. Latem kilkaset osób zjawi się na naszym jubileuszowym, dwudziestym Zlocie. Czas więc już na konkretne przygotowania i rozmowy – zainteresowanym proponuję spotkanie w lutym 1996 roku w malowniczym schronisku w Srebrnej Górze koło Ząbkowic Śl. (wcześniej proszę o kontakt). Zaś setkom tych, którzy sięgają – i nadal pragną sięgać – po okruszki mądrości Indian i nasze, nie zawsze równie mądre, zwierzenia – dziękuję za zainteresowanie, wyrozumiałość i wspólnotę ducha. □

„TAWACIN” PROPONUJE:

HISTORIA WOJEN INDIAN AMERYKI PÓŁNOCNEJ



HISTORIA

Historia wojen Indian Ameryki Północnej.
Wyd. „Akcydens”, Poznań 1995, stron 208,
cena 29 zł.

Książka przedstawia wydarzenia z lat 1607–1890. Opowiada o heroicznej walce Indian z białymi kolonizatorami. Opisy bitew i potyczek wzbogacone zostały szeregiem ilustracji – oryginalnymi zdjęciami oraz reprodukcjami obrazów (papier kredowy, format A4). Ponadto szereg map, poczet wodzów oraz chronologia wydarzeń.

Maciej Zimiński: *Legenda w indiańskim pióropuszu.* Wyd. Spółdzielcze. Warszawa 1991, stron 150, cena 2 zł 90 gr.

Autor przedstawia sylwetki kilku sławnych postaci (Joseph Brant, Sitting Bull, Tecumseh, Sekwoja, Geronimo, a także Sal Okh i Karol May), podając wiele ciekawych faktów i ukazując jednocześnie jak ci ludzie wpływali na tworzenie się legendy o zdobywaniu Ameryki. Sporo fotografii, także kolorowych.

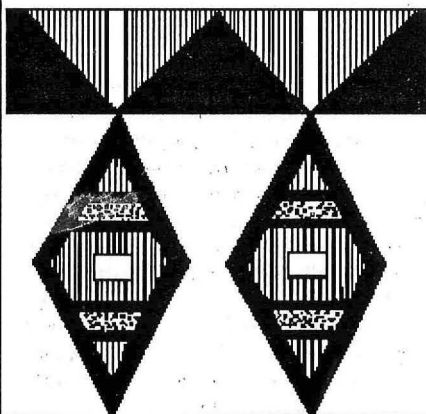
Koralikowe „zrób to sam”

Książeczka zawiera szereg informacji o różnych technikach zdobienia koralikami, omawia podstawowe przybory, takie jak koraliki, igły, nici i krosna. Autor w bardzo praktyczny sposób przedstawia metody wyszywania i tkania koralikami, objaśnia jak wykonać rozetkę, pasek czy łańcuszek. Wprowadza nowość: papier koralikowy do rysowania wzorów. Opowiada o „Koralikowym Duchu” i co to jest „Motyl Oglalów”, a także „ścieg pejotłowy” i „stokrotka”. Wszystko dokładnie i bogato ilustrowane. Drugą połowę książeczki wypełniają wzory z różnych kultur i regionów Ameryki Północnej.

Jedyne takie opracowanie po polsku!

Wiesław K. Niedźwiadek: *Indiańskie techniki zdobienia koralikami.* Biblioteka „Tawacinu” nr 23. Wyd. TIPI. Wielichowo 1992, cena 2 zł 50 gr.

Wiesław K. Niedźwiadek Indiańskie techniki zdobienia koralikami



WIETRZNY ORZEŁ I INNE OPOWIEŚCI ABENAKÓW



JOSEPH BRUCHAC

Wietrzny Orzeł to zbiór przepięknych opowieści Abenaków, nawiązujących do tradycji gawędziarstwa. Indiańskie opowieści, opowiedane przeważnie jesienią i zimą, bawiły słuchaczy, a jednocześnie uczyły i przypominały o podstawowej mądrości życia w harmonii z naturą. Perypetie Gluskabiego, mitycznej postaci w kulturze Abenaków, odwołują się do naszej wyobraźni i ilustrują związki człowieka z otaczającym światem; i choć nie mamy takich zdolności jak Gluskabi, możemy jednak swoimi poczynaniami albo umacniać życie na ziemi, albo je niszczyć.

Opowieści Josepha Bruchaca są mądre i praktyczne, prawdziwie ekologiczne i przyjazne człowiekowi.

Joseph Bruchac – urodził się w 1942 roku w Miesiącu Spadających Liści w Saratoga Springs. Jest poetą, gawędziarzem i wydawcą z ludu Abenaków. Przedmowę w książce „Ta sama ziemia pod stopami” napisał specjalnie do polskiego wydania.

Joseph Bruchac: *Wietrzny Orzeł i inne opowieści Abenaków.* Biblioteka „Tawacinu” nr 24. TIPI, Wielichowo 1995, stron 64, cena 3 zł 90 gr.

CZARNY ŁOŚ OPOWIEŚĆ INDIAŃSKIEGO SZAMANA



O sprawcie, by żył mój lud!

Pewien starzec stojący na górze Harneya wznosił ramiona do pustego nieba i wypowiadał te dramatyczne słowa.

Nazywał się Czarny Łoś, był wojownikiem i świętym człowiekiem Siuksów Oglala. Brał udział w największych wydarzeniach w historii swego ludu: jako trzynastoletni chłopiec oglądał słynną bitwę z kawalerią gen. Custerza nad rzeką Little Bighorn, a w 1890 roku uczestniczył w ostatniej masakrze Siuksów nad strumieniem Wounded Knee.

W tej książce opowiada o wielkiej wizji, jakiej nie doświadczył żaden inny człowiek. Dzięki niej miał przetrwać naród Siuksów.

Czarny Łoś to opowieść o doświadczaniu duchowych wartości, przed jakimi staje człowiek przy wyborze swej drogi życia. Czarny Łoś zauważa, że każdy krok w poznaniu siebie i świata wiąże się nieuchronnie z samozaparciem i samopoświęceniem.

CZARNY ŁOŚ. Dzieje świętego człowieka Siuksów Oglala opowiedziane po-przez Johna G. Neihardta (Piłmienną Tęczę). ZYSK i S-ka Wydawnictwo. Poznań 1994, stron 220, cena 12 zł.



LITERATURA PIĘKNA

Tylko ziemia przetrwa... Mała antologia dawnej i współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. SOK Sztum 1992, str. 140, cena 4 zł. Tradycyjne legendy i opowieści, pieśni, sztuka krasomówcza, wspomnienia i poezja.

SZAMANIZM

Jim Berenholtz: *Podróż w cztery strony*. Mistyczna opowieść o podróży w starożytne tajemnice obu Ameryk. LIMBUS. Bydgoszcz 1994, stron 360, cena 9 zł 50 gr.

Wizjoner, muzyk obrzędowy i podróżnik, Jim Berenholtz (znany w Polsce ze swej muzyki) dzieli się swym mistycznym przebudzeniem i niezwykłą wiedzą. Zaczynając w marszach pokojowych wschodu jako propagator praw ludów tubylczych, podróżuje dalej na północ do Indian Lakota, na zachód do plemion Hopi i na południe do Ameryki Środkowej, gdzie otrzymuje nauki inicjacyjne od nauczycieli Majów i Azteków.

Nevill Drury: *Szamanizm*. Wyd. Rebis. Poznań 1994, stron 160, cena 4 zł 90 gr.

Czym jest, gdzie powstał, jak się rozprzestrzenił i jakle przechodził ewolucję. Indianiścy *medicine men*. Czarny Łoś, Brooke Leczący Orzeł, Słoneczny Niedźwiedź. Castaneda i Andrews – szamani czy szarlatani?

Lynn V. Andrews: *Szamanika*. ZYSK i S-ka. Poznań 1995, stron 240, cena 7 zł 90 gr.

Lynn V. Andrews: *Lot siódmego księżycy*. ZYSK i S-ka. Poznań 1995, stron 208, cena 9 zł 90 gr.

Dwie powieści z modnego obecnie nurtu białego szamanizmu; o kobiecie, która postanowiła poszukać własnej tożsamości w kulturze amerykańskich Indian. Doświadczenia bohaterki i opisy „indiańskich” obrzędów trzeba jednak potraktować z wielkim przymrużeniem oka.

POCZTÓWKI SŁYNNYCH INDIAN

- Nr 8 Low Dog (Oglala)
- Nr 11 Chief Joseph (Nez Perce)
- Nr 15 Lone Wolf (Kiowa)
- Nr 16 Kicking Bird (Kiowa)
- Nr 21 Wolf Robe (Cheyenne)
- Nr 26 Quanah (Comanche)
- Nr 29 Rain in the Face (Hunkpapa)
- Nr 36 Sitting Bull (Hunkpapa)

Komplet 8 szt. (po jednej z każdego rodzaju) kosztuje 8 x 40 gr = 3 zł 20 gr. Przy zakupie 5 i więcej szt. tego samego rodzaju – 30 gr.

„TAWACIN” Z LAT UBIEGŁYCH

Dostępne są jeszcze następujące numery:

- 1992 nr 19 i 20 po 1,20 szt.
- 1993 nr 21 i 24 po 1,50 szt.
- 1994 nr 25, 26, 27 i 28 po 1,90 szt.
- 1995 nr 29, 30, 31 i 32 po 2,90 szt.



Pokrywamy koszty przesyłki pocztowej. Prosimy o przedpłatę przekazem lub na konto:

TIPI, Marek Maciołek
ul. Łąkowa 3
64-050 Wielichowo
GBW-BS w Wielichowie
Rk 963549-56531-2706-2

Ze względu na termin dostarczania wpłat przez bank, realizacja zamówień może trwać do 3-4 tygodni. Aby to przyspieszyć można przesłać zamówienie listem dołączając kopię przekazu.

SZANOWNI PRENUMERATORZY

„Tawacin” ukazuje się siódmo lat i rozprowadzany jest przede wszystkim drogą prenumeraty indywidualnej. Nasze pismo zaczyna się też pojawiać w księgarniach, galeriach i muzeach. Ponadto korzystamy trochę z niezależnej sieci dystrybucji tzw. *zinów*, choć „Tawacin”, jako pismo specjalistyczne i określone tematycznie, nigdy do klasycznych *fan zinów* się nie zalicza.

W 1996 roku planujemy wprowadzić trochę innowacji do naszego pisma. Obejmują one m.in. bogatszą szatę graficzną, co będzie – miejmy nadzieję – widoczne już w następnym numerze. Pragniemy też utrzymać dotychczasowy poziom merytoryczny, publikując wartościowe i ciekawe materiały. Jakość pisma jest naszą stałą troską, wyrażaną też przez naszych Czytelników, których głosy zamieszczamy w tym numerze. Szczególnie nam się spodobała opinia Urszuli Urban z Białegostoku, której przyznajemy nagrodę w postaci bezpłatnej prenumeraty „Tawacinu” w 1996 roku.

Na koniec dość przykry obowiązek poinformowania o warunkach prenumeraty „Tawacinu” w 1996 roku. Nieustanny wzrost ceny papieru oraz inflacja zmusza nas do podniesienia ceny prenumeraty o 20%. Cztery numery w 1996 roku będą więc kosztować 12 zł. Liczymy, że uda nam się utrzymać tę cenę przez cały rok. Zapraszamy do regularnej lektury i prosimy o przedłużenie prenumeraty.

Red.

WARUNKI PRENUMERATY

TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Cena jednego numeru w prenumeracie wynosi razem z wysyłką 3 zł. Prenumerata roczna wynosi 12 zł. Oferujemy możliwość obniżenia ceny prenumeraty przez wysyłkę pod jeden wspólny adres co najmniej 2 egzemplarzy TAWACINU. Udzielone bonifikaty powodują wówczas obniżenie ceny do:

ilość egzemplarzy	cena 1 egz. w złotych	cena prenumeraty 1 egz. w 1995 r.
1	3,00	12,00
2-3	2,80	11,20
4-8	2,60	10,40
od 9	2,40	9,60

Wpłaty należy kierować na konto:

MAREK MACIOŁEK, TIPI
ul. Łąkowa 3
64-050 WIELICHOWO
GBW-BS W WIELICHOWIE
RK NR 963549-56531-2706-2

Prosimy dokładnie i czytelnie podawać swój adres na przekazie oraz czego dotyczy wpłata. Przy zmianie adresu prosimy o informację.

NIE PRZESYŁAĆ PIENIĘDZY W LISTACH!

